

**ALFRED HITCHCOCK**

# **ZABÓJCZA EKSTAZA**

**NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

**(Przełożył: ALEKSANDER MINKOWSKI)**

## **ROZDZIAŁ 1**

### **SZAŁ W BLOOMINGDALE**

Mówiło o tym całe Los Angeles.

Była szósta po południu, godzina szczytu w eleganckim domu towarowym Bloomingdale, położonym w centrum miasta. Przez wszystkie piętra przewalały się tłumy klientów, oblegając stoiska z kosmetykami najslynniejszych firm, z biżuterią i zegarkami, z odzieżą męską i damską, od luksusowej bielizny po najkosztowniejsze futra, z meblami, dywanami, najwymyślniejszą elektroniką, gramy, zabawkami.

Nagle zaczęło się dziać coś dziwnego.

Twarze klientów rozjaśniły promienne uśmiechy, w oczach rozbłysło uszczęśliwienie, jakby wszyscy włożyli karnawałowe maski. Obcy ludzie padali sobie w ramiona, poklepywali się i całowali, radośnie coś wykrzykując.

- Kocham was! - rozlegały się podniecone wołania.

- Cudowni jesteście!

- Jaki świat jest piękny!

- Miłujmy się!

Eksplozja uczuć ogarnęła także sprzedawców: na lewo i prawo zaczęli rozdawać towary ze swoich stoisk, wciskając klientom brylantowe kolie, kreacje Diora, futra z szynszylki, miśnieńska porcelanę, zegarki ze złota i platyny.

- Proszę, bierzcie!

- Wszystko wasze, wszystko dla was!

- Radujmy się, siostry i bracia!

Strażnik, dyżurujący u wejścia do domu towarowego, zaniepokojony dziwnym tumultem, zajrzał do środka i natychmiast zadzwonił z komórki do dyrektora Bloomingdale. Dyrektor, pan Jim Morris, najpierw nie uwierzył, potem wypadł ze swego biura położonego na najwyższym piętrze i pognął na dół, aby sprawdzić, co się dzieje.

A tam z megafonów płynęła już muzyka. Wszystkie stoiska były ogołoczone z towarów. Ludzie, obładowani paczkami, z kieszeniami i torebkami wypchanymi biżuterią, obejmowali się i tańczyli, coś rozkosznie bełkocząc. Na pytania dyrektora Morrisa odpowiadano minami pełnymi rozanielenia, podwładni próbowali go całować i ścisnąć.

Dyrektor włączył system alarmowy, automatycznie zamykając wszystkie

wyjścia, i wezwał policję. Zjechało kilka brygad specjalnych, pojawił się prokurator okręgowy Bili Norton. Pierwsze przesłuchania kierowników stoisk w gabinecie dyrektora niczego nie wyjaśniły, zachowywali się jak wariaci. Zapewniali prokuratora, że wszystko jest wszystkich, że miłość bliźniego, triumf dobroci, wielkie objawienie... Jego też usiłowali obcałowywać.

Wezwał na pomoc psychologów policyjnych.

Klienci bez oporu zwracali policjantom otrzymane w darze przedmioty. Przepelnieni entuzjazmem, robili z nich prezenty stróżom porządku, namawiając, aby cieszyli się wraz z nimi, i zapraszając do tańca, bo muzyka nie przestawała grać. Kobiety wyznawały dozgonną miłość funkcjonariuszom, mężczyźni ślubowali oddanie przypadkowym paniom i przyjaźń na wieki innym panom.

Policyjny psycholog, doktor Norman Brynolfsson, odbył kilka rozmów ze sprzedawcami i klientami, po czym zakomunikował prokuratorowi okręgowemu, że mają do czynienia z atakiem zbiorowego obłędu, którego przyczyn nie podejmuje się w tej chwili wyjaśnić.

- Nikogo z tych ludzi nie wolno samego wypuścić na miasto, ponieważ trwają w stanie euforii i są nieobliczalni - stwierdził. - Należy ustalać ich tożsamość i wzywać rodziny. Część osób przewieziemy do kliniki na obserwację.

- Jak długo mogą trwać w tym stanie? - zapytał Norton.

- Nie mam pojęcia - przyznał doktor Brynolfsson. - Nigdy nie spotkałem się z podobnym fenomenem ani o takim nie słyszałem.

- Musi istnieć racjonalne wytłumaczenie.

- Musi - zgodził się psycholog. - Jakieś zbiorowe skażenie, masowa infekcja. Wyobrażam sobie, że takie zjawisko mógłby wywołać gaz bojowy, jakaś nowa tajna broń. To sprawa wojskowych ekspertów, proponuję zwrócić się do nich.

Prokurator Norton natychmiast zadzwonił do Waszyngtonu. Reakcja była szybka: po paru kwadransach w Bloomingdale pojawili się wojskowi z aparaturą. Jeszcze przed przystąpieniem do badań surowo zabronili zawiadamiania prasy o zdarzeniu. Top secret. Ale jak utrzymać w tajemnicy zdarzenie z tyloma uczestnikami?

Nazajutrz wszystkie gazety trąbiły na pierwszych stronach o zbiorowym szaleństwie w Bloomingdale.

Po paru dniach Bili Norton otrzymał od dowództwa wojskowych służb specjalnych poufną informację, że skażenia gazem, ani żadnym innym preparatem masowego rażenia, w gmachu Bloomingdale nie stwierdzono. Badania jednak trwają.

Kilka osób skażonych euforią wojsko wzięło do siebie na obserwację.

W sztabowej przyczepie Trzech Detektywów, ustawionej na tyłach składowiska staroci wujostwa Jupitera Jonesa, panowało podniecenie. Bob Andrews przyniósł świeży numer "Los Angeles Sun" z artykułem o wypadkach w Bloomingdale. Jego ojciec, redaktor Andrews, otrzymał już redakcyjne zamówienie na cykl reportaży.

- Jest w kropce, bo z nikim na razie nie da się rozmawiać. - powiedział Bob. -Wszyscy zamienili się w aniołów, klienci, sprzedawcy. Plotą dyrdymały o miłosnej wspólnocie całej ludzkości, totalnym zbawieniu i wszechświatowym braterstwie.

- Może nie są to dyrdymały? - odezwał się Pete Crenshaw. - Osobiście, nie miałbym nic przeciwko temu.

- Ja też - przytaknął Jupiter Jones, szef agencji Trzech Detektywów. - Tyle że świat chyba zrobiłby się obrzydliwie nudny. Na razie nam to jednak nie grozi.

- Coś grozi - mruknął Pete.

- Anielska zaraza - zgodził się Bob. - Tym ludziom nie przechodzi, rodziny trzymają ich w zamknięciu, bo mogą narozrabiać. Ale ojciec wykrył, że są dwa przypadki odwrotne.

- To znaczy? - zainteresował się Jupe.

- Depresja - rzucił Bob. - Gwałtowny przeskok od euforii do przygnębienia. Jakaś pani Liz Aidrige, klientka, i sprzedawca klejnotów, Rolf Bloom. Dwie próby samobójcze.

Jupe zaczął skubać dolną wargę.

- To nie są żarty - powiedział po pauzie. - Czytałem, że chorzy umysłowo popadają często z euforii w depresję i czasem kończy się to tragedią.

- Chyba nie myślisz, że wszyscy naraz zwariowali? - Bob wzruszył ramionami. - Ojciec próbował pogadać ze znajomym lekarzem, pułkownikiem, który obserwuje kilka osób przewiezionych z Bloomingdale do wojskowej kliniki. Ale nie puścił pary z ust. Powiedział tylko, że nie są chorzy psychicznie.

Jupe spojrzął na zegarek. Zbliżała się pora dietetycznego posiłku. W przypadku kuracji odchudzającej - a Jupiter postanowił tym razem nieodwołalnie, że zrzuci pięć kilogramów paskudnego tłuszczu, który zagnieździł mu się w okolicach brzucha, ud oraz poniżej pleców - otóż w przypadku takiej kuracji ważne są nie tylko kalorie, lecz i regularność ich spożywania. Zaczął wrzucać do plastikowego pojemnika liście kapusty pekińskiej, plasterki dyni, kawałki kalafiora, pomidor, chudy ser pokrojony w kostkę.

Wbił jedno jajko. Po namyśle i z pewnym niesmakiem wbił jeszcze jedno, wrzucił parę krążków salami i szybko je przykrył cebulą.

- Zapiekanka SADKO? - spytał Pete, robiąc oko do Boba.

- Zestaw dietetyczny trzydzieści pięć - mruknął Jupe, umieszczając naczynie w mikrofalówce.

- Chyba zapomniałeś o boczkach. - Bob zrewanżował się Pete'owi takim samym mrugnięciem. - Do salami pasowałby wędzony boczek.

- Salami jest dla was, ja go nie tknę - warknął Jupiter. - Sam nie będę przecież jadł. I zejdźcie ze mnie, dobrze?

- Nie chciałbym być wtedy w Bloomingdale - zmienił temat Pete. - Boję się wariatów. Badać takiej sprawy też bym nie chciał. Jeszcze by się można zarazić.

- A ja bym chciał - odezwał się Jupe, majstrując przy mikrofalówce, aby ustawić czas i temperaturę. - Choroby psychiczne nie są zaraźliwe. Zresztą, nie wierzę, aby w Bloomingdale wybuchła epidemia, nikogo nie oszczędzając. Tłum ludzi nie zapada na tę samą chorobę w jednej i tej samej chwili. To musiało być coś innego.

- Co, na przykład? - zapytał Bob.

- No widzisz, Boba też to interesuje - powiedział Jupe do Pete'a. - Jest dwa do jednego.

- Na szczęście nikt nas nie prosi o pomoc - mruknął Pete.

Mikrofalówka brzęknęła, podając do wiadomości, że zestaw dietetyczny trzydzieści pięć dojrzał do spożycia. Ser wymieszany z jajkami stopił się, tworząc smakowitą brunatną skórkę. Być może ten zestaw nie był do końca dietetyczny, ale smaczny na pewno.

Kiedy w przyczepie zadzwonił telefon, Jupe, Pete i Bob mieli pełne usta. Jupe przełknął przez zupełny przypadek plaster salami i podniósł słuchawkę.

- Tu prokurator okręgowy, Bili Norton - usłyszał. - Czy to Jupiter Jones?

- Przy telefonie - potwierdził Jupe, cały zamieniając się w słuch.

- Jeśli jutro masz trochę czasu, chętnie bym się z tobą spotkał - dobiegło ze słuchawki. - Może być dziesiąta rano? U mnie w biurze. Do zobaczenia.

Jupe odłożył słuchawkę. Odechciało mu się jeść. Gdyby zawsze, w przypływie apetytu, odbierał taki telefon, zrzuciłby zbędne pięć kilo bez żadnej diety.

- A jednak! - wykrzyknął. - Chyba będziemy badać tę dziwną sprawę!

## ROZDZIAŁ 2

### DZIEWCZYNA OD MESJASZA

Bili Norton przywitał Jupe'a serdecznie, jak starego przyjaciela. Jeszcze raz wyraził uznanie dla Trzech Detektywów za ich udział w rozszyfrowaniu afery z grającymi długopisami. Zadał kilka kurtuazyjnych pytań, poczęstował filiżanką kawy bezkofeinowej, przeprasząc, że innej w biurze nie ma, bo lekarze zabronili mu kofeiny ze względu na nadciśnienie.

-A w naszej profesji nadciśnienie to dolegliwość zawodowa - powiedział z uśmiechem. - Stresów nie brakuje.

- Zwłaszcza ostatnio - wpadł mu w słowo Jupe - po aferze ze zbiorowym obłędem w Bloomingdale...

- To nie nasza sprawa - przerwał mu prokurator okręgowy.

- Bada ją wojsko. Ja miałbym dla was inną, do której przydałaby się trójka bystrych młodych ludzi. Idzie o waszych rówieśników.

- Dlaczego tamtą sprawę przejęli wojskowi? - nie wytrzymał Jupe.

Bili Norton przez moment zawahał się, czy powiedzieć prawdę. Ale po aferze o kryptonimie "Bрудny interes" nabrał zaufania do Trzech Detektywów. Słyszał także o ich dokonaniach w Las Vegas, gdzie zdemaskowali ruletkowego oszusta nazywanego Władcą Fortuny. Chyba może im zaufać.

- Śledztwo prowadzą służby specjalne - powiedział. - Wywoływanie zbiorowego obłędu to groźna broń, ważna dla obronności państwa. Dochodzenie jest objęte klauzulą najwyższej tajności i my, cywile, nie mamy z tym już nic wspólnego. Ja natomiast mam kłopot z jakimś Mesjaszem.

- Nie słyszałem - przyznał Jupe.

- To młody kaznodzieja. Inteligentny, trzeba przyznać, o magnetycznym wpływie na młodzież. Założył stowarzyszenie "Droga do raj" i werbuje ludzi. Ma coraz więcej zwolenników, czy też wyznawców, jak wolisz. Formalnie nie mamy podstaw, żeby wkraczać, wszystko jest zgodne z prawem. Idee, jakie głosi, można znaleźć w Biblii, choć nie są związane z żadną religią. Mesjasz nie podszywa się pod Boga, nie głosi końca świata. Apeluje o dobro i wzajemną życzliwość.

- Co w tym złego? - zapytał Jupe.

- Nic - zgodził się Norton. - Ale wzrosły przypadki zniknięcia młodych ludzi. Meldunki rodzin o zaginięciach zbiegają się w czasie z wystąpieniami Mesjasza.

Obserwowaliśmy te spotkania z młodzieżą. Publicznie Mesjasz nikogo nie werbuje, nie namawia do ucieczek z domu. Musi jednak coś w tym być, skoro właśnie z tych okolic, gdzie występował Mesjasz, wkrótce nadchodzą powiadomienia o zniknięciach.

- Czego pan od nas oczekuje?

- Sam dokładnie nie wiem - wyznał prokurator. - To moja prywatna prośba. Jutro Mesjasz ma się pojawić na dyskotecie w Norfolk. Nie zawsze przemawia. Ale dziewczęta i chłopcy garną się do niego.

- Norfolk leży blisko Rocky Beach - wtrącił Jupe.

- No właśnie - przytaknął Norton. - A wy mieszkacie w Rocky Beach... Mógł i byście zajrzeć jutro do dyskoteki. Porozglądać się, posłuchać.

Jupe skubnął dolną wargę. Szczerze mówiąc, był rozczarowany. Liczył na sprawę Bloomingdale, miał na nią spory apetyt, spodziewał się wstępnych informacji o tym od Nortona i jakichś propozycji. Domorośli kaznodzieja obchodził go zdecydowanie mniej. Każdy taki wyciąga coś z Biblii, przerabia na własny sposób i udaje proroka, żeby porządzić innymi. Czasami jest to cwaniak, niekiedy walnięty gość. Ani to, ani tamto nie zapowiadało zagadki godnej Trzech Detektywów.

- Porozmawiam z partnerami - obiecał bez przekonania. - Może się wybierzemy do dyskoteki w Norfolk.

Didżej zapowiadał kolejne kawałki, orkiestra wściekle szarpała struny, perkusista szalał, robiąc Trzem Detektywom sieczkę z mózgow. Kiedy muzycy opadali z sił, didżej przechodził na kompaktki i ryk był wcale nie mniejszy dzięki potężnym kolumnom, rozmieszczonym w kilku punktach sali. Jaskrawosinym blaskiem pulsował stroboskop, na tańczących spływały potoki kolorowych plam z reflektorów pod sufitem.

Bob płaśał z ciemnoskórą dziewczyną w metalizujących opiętych spodniach i z mnóstwem dredów fruujących wokół głowy. Pete dobrał sobie partnerkę o wielobarwnej fryzurze, od zieleni po fiolet, z oczyma w gwieździstych obwódkach bordo i z trójkątem na czole, obwieszoną łańcuchami, jakimi ongiś skuwano niewolników. Jupe musiał przyznać, że tańczą z sercem - poddani spazmatycznym rytmom, dygotali i wili się jak w padaczkę, młócąc powietrze ramionami.

Jupe uważał taniec za czynność śmieszna. Co prawda można przy tym zrzucić furę kalorii, ale lepsze efekty daje gimnastyka. Ściślej: dawałaby, gdyby Jupe przełamał wewnętrzne opory i wziął się, powiedzmy, za jogging albo robił co rano po

dwadzieścia pompek. Przynależał sobie, że zacznie od poniedziałku, i przypominał sobie o tym we wtorek. Jego podświadomość umiała się bronić przed gwałtem, akceptowała jedynie gimnastykę mózgu. Taki już jest. Ale człowiek może się zmienić, jeśli twardo postanowi, byle nie wtrącała się do tego podświadomość, inaczej zwana wygodnictwem.

Stał pod ścianą i obserwował tańczących, trochę ogłupiały od furii dźwięków roszadających głośniki. Na razie nic szczególnego się nie działo. Jeżeli nie liczyć smukłej rudawej dziewczyny o długich nogach i orzechowych oczach w cieniu wywiniętych do góry rzęs, która podpierała ścianę kilka kroków od niego. Bodaj ona jedna była bez makijażu, nie nosiła żadnych ozdóbek; miała na sobie zwykłe wypłowiałe dzinsy. Kilka razy jacyś przystojniacy próbowali wyciągnąć ją na parkiet. Odmawiała, słodząc odmowę przepraszającym uśmiechem.

Jupe wyobraził sobie, że on prosi dziewczynę do tańca. Kłania się lekko i wyciąga rękę, a kasztanowowłosa przyjmuje zaproszenie. "Czekałam, aż to zrobisz" - szepcze cichutko i wychodzą razem na środek parkietu. Tylko co dalej? Jupe nie ma zielonego pojęcia o tańczeniu, nigdy przedtem tego nie próbował. Wić się jak pajac, kręcić pupą? Błazenada.

Do licha, trzeba będzie poćwiczyć taniec. Detektyw musi umieć wszystko. Dziewczyna może nie jest piękna, ale ma w twarzy coś urzekającego, jakieś utajone uduchowanie, ciepłe światło w olbrzymich orzechowych oczach. Popatrzyła na Jupe'a raz, drugi. Chyba uśmiechnęła się do niego. Do niego czy do własnych myśli?

Wyglądała, jakby czekała na kogoś. Od czasu do czasu popatrywała na drzwi wejściowe. Coraz częściej.

Jupe przestał na nią zerkać. Precz, wyobraźnio! Przed chwilą spławiła kulturystę w typie filmowego amanta. Lepiej nie narażać się na ośmieszenie. Mógłby usłyszeć coś w rodzaju "Spadaj, grubasie", co wtedy?

- Przepraszam, która godzina? - usłyszał.

- Pięć po dziesiątej - odpowiedział, automatycznie spojrzawszy na zegarek, i wtedy dopiero stwierdził, że o godzinę pyta kasztanowowłosa.

Stała tuż przy nim i pachniała łąką, polnymi kwiatami.

- Powinien już być... - odezwała się jakby do siebie.

- Na pewno będzie - powiedział Jupiter. - Takiej jak ty nie wystawi do wiatru.

Spojrzała na Jupe'a, nie rozumiejąc. Oczy miała jeszcze bardziej niezwykle, niż mu się wydawało: jakby podświetlone od wewnątrz i leciutko skośne. Do tego



wystające kości policzkowe i oliwkowa cera, i pełne usta, ciut rozchylone w wyrazie zdziwienia.

- Jestem tutaj po raz pierwszy - ciągnął Jupe - na ogół nie bywam na dyskotekach. A ty? Mieszkasz w Norfolk?

- Ogłupiają się muzyką - powiedziała dziewczyna. - To taka ucieczka od samych siebie. Jeden rytm dla wszystkich, wspólne poczucie stada.

- Zgadza się - przytaknął Jupe. - Mam na imię Jupiter.

- Lea. Więc po co tu przyszedłeś?

- Żeby poznawać życie - odparł żartobliwie. - Ty też jesteś tutaj.

- Można im pomóc - usłyszał.

Muzyka raptownie umilkła. Tańczący zastygli. Wszystkie głowy były zwrócone do wejścia. W progu stał szczupły mężczyzna o wysokim czole i białych włosach opadających do ramion, ubrany w lnianą koszulę bez kołnierzyka, rozpiętą na piersi. Uśmiechał się łagodnie, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem przez szkła w drucianej oprawie.

- To on, to Mesjasz... - rozległy się szepty.

Lea wychyliła się do przodu, jakby chciała podbiec do mężczyzny, lecz nie zrobiła tego. Wpatrywała się w Mesjasza rozszerzonymi oczyma, pełnymi niemego uwielbienia. Ich spojrzenia spotkały się na moment. Chyba jej nie znał albo nie poznał: jego spojrzenie nie zmieniło wyrazu, przesunęło się dalej, musnąwszy Jupe'a po drodze. Jupe odniósł wrażenie, że na ułamek chwili zatrzymało się na nim. Poczul dziwny dreszcz.

- Przemów do nas, Mesjaszu - rozległ się czyjś głos.

Mesjasz nieśmiało ruszył przez salę. Pary na parkiecie rozstąpiły się, robiąc mu przejście. Podszedł do podium. Widać było, że się waha. W końcu wszedł jednak na podwyższenie.

- Pozdrawiam was - powiedział cicho, prawie szeptem, a jednak usłyszeli go wszyscy. - Na pewno dobrze się bawicie, przepraszam, że przeszkodziłem.

- Coś ty! Nie przeszkodziłeś, czekaliśmy na ciebie! - zaprotestowano z różnych stron.

- A mnie ciągnęło do was - powiedział mężczyzna ze swoim wstydlwym uśmiechem. - Czuję dobrych ludzi, działacie na mnie jak magnes. Nie mogłem się doczekać spotkania z wami. Dochodzą mnie wasze wibracje przesycone miłością, ogrzewa mnie ciepło waszych serc, przyjaciele. Jesteście nadzieją. Ślecie mi

nieświadome sygnały, a ja odbieram wasze skrywane pragnienia, waszą tęsknotę za dobrem i czystością, za światem bez kłamstw, fałszu, zawiści i okrucieństwa. Chcecie takiego świata?

- Chcemy! - odpowiedziała sala jednym głosem.

- Ale nie wierzycie, że może być taki - szepnął Mesjasz i pochylił głowę, białe włosy zasłoniły mu twarz. - Człowiek zdradza przyjaciela. Kradnie mu jego własność. Uwodzi ukochaną. Obmawia przed innymi. Czerpie rozkosz z zadawania bólu, wyśmiewa kalekę, cieszy się cudzym nieszczęściem. Zauważyliście, że łatwiej znosić własne kłopoty, kiedy ktoś ma większe? Że do kariery dąży się po trupach? Że na własną podłóżkę łatwo znajduje się usprawiedliwienie? Że co twoje to moje, a mojego nie rusz? Że człowiek człowiekowi wilkiem w skórze łani? Znacie to?

- Znamy! - padła zbiorowa odpowiedź.

- I jesteście bezradni - powiedział Mesjasz, odrzucając włosy do tyłu. - Żeby przeżyć, musicie być podobni do innych, walczyć tą samą bronią. Na początku buntujecie się, później z wolna przywykacie, wasze ciała pokrywają się grubą skórą, ochronnym pancerzem. Ale wewnątrz pancerza dygocze istota samotna, smutna i nieszczęśliwa, jest tak?

- Jest - potwierdziła sala.

- Ale nie musi! - zawołał białowłosy z nagłą mocą. - Istnieje droga, która prowadzi do człowieczeństwa, droga do raju. Nie mówię o raju niebieskim, lecz o raj u tutaj, na ziemi. Ja tę drogę znam i tą drogą podążam.

- Weź nas ze sobą - rozległy się pojedyncze głosy.

Mesjasz zamilkł. Patrzył nieruchomo przed siebie przez szkła w drucianej oprawce, ponad głowami obecnych.

- Wszystkich nie mogę - odezwał się cicho. - Na razie towarzyszyć mi będą tylko wybrańcy. Są tacy wśród was. Gotowi do poświęceń, godni mojego zaufania, wierni bez granic ideałom. Droga do ziemskiego raju wiedzie przez dżunglę. Trzeba się przebijać, torując drogę innym. To ciężki trud.

- Jesteśmy gotowi! - zabrzmiało kilka głosów, wśród nich najdonośniej głos Lei, stojącej parę kroków od Jupe'a.

Była rozplomieniona, gorejącymi oczami wpatrzona w Mesjasza. Fanatyczka, pomyślał Jupe, ale fantastyczna w tym swoim zachwycie, jakby dostała skrzydeł. Na pewno nie pierwszy raz słucha tego kaznodziei.

Zbliżył się Bob.

- Gość ma ikrę - szepnął do ucha Jupe'owi. - Sam jestem pod wrażeniem.

- Ja też - przyznał Jupe.

- Dziękuję wam. - Mesjasz uniósł w górę ramiona, jakby błogosławił obecnych. -

Na razie potrzebuję tylko waszego duchowego wsparcia, niczego więcej. Stowarzyszenie "Droga do raju" opiera się na sympatykach. Być może nadejdzie jednak dzień, kiedy wybrani uświadomią sobie, że czekam na nich, i wtedy odnajdą mnie, wiedzeni głosem serca. Bądźcie pozdrowieni!

Wśród burzliwych oklasków, onieśmielony, z głową wciągniętą w ramiona, zszedł z podium i wstydliwie uśmiechnięty opuścił salę.

Pete porzucił swoją tęczową partnerkę i przepchnął się do Jupe'a.

- Nie wiem, o co chodzi Nortonowi - mruknął. - Ten człowiek chyba jest ciut walnięty, ale w zupełnym porządku. Nikogo nie namawia do ucieczki z domu. Coś tam obiecuje na przyszłość, ale nie wiadomo co, gdzie i kiedy.

- Chciałbym wiedzieć, jak się zmienia świat z bagna w rajski ogród - wtrącił Bob. - Nic nie powiedział o swoim pomysłe. Nawet nie proponował, żeby się modlić.

Jupe skubał dolną wargę. Zauważył, że Lea wymknęła się z sali za Mesjaszem. Na estradę wrócili muzycy, szykowali już instrumenty, ustawiali mikrofony. Z wolna wygasало zauroczenie kaznodzieją. Czekano na dalszy ciąg zabawy, dyskoteka dopiero się rozkręcała.

- Podoba mi się ten Mesjasz - powiedział Jupe. - Ale ludzie mu klaszczą i dalej robią swoje. Niektórzy wierzą, że to oni są wybrańcami, na chwilę budzą się w nich sumienia, będą czekać na znak. Wątpię, żeby nadszedł. Nic tu po nas. Wracamy?

- Ja bym jeszcze został - powiedział Bob. - Moja czarnulka tańczy fenomenalnie, fika, że palce lizać, pysznie się bawimy.

- Ja też bym się jeszcze trochę pobawił - dołączył do Boba Pete.

Jupe znalazł się w mniejszości oraz bez środka lokomocji, bo Pete przywiózł ich tutaj swoim starym mustangiem. Pieszko nie wróci przecież do Rocky Beach.

- W porządku - zgodził się. - Daję wam godzinę na szaleństwo.

Obserwował, jak Pete i Bob odnajdują w tłumie swoje partnerki, jak wyruszają z nimi na parkiet, aby dołączyć do rozkołysanych dyskotekowców. Orkiestra wystartowała ostro. Didżej coś tam nawijał, ale nie było go słychać.

Poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia.

Odwrócił się i zobaczył Leę. Stała tuż przy nim, mrużąc orzechowe oczy przed blaskiem reflektorów.

- Nie tańczysz? - spytała.

Jupe przecząco pokręcił głową.

- Widziałem, jak wybiegłaś za Mesjaszem. Nie przypuszczałem, że wrócisz.

- Wyjdźmy na powietrze, tu nie ma czym oddychać.

Jupe poszedł za Leą. Znaleźli się na dziedzińcu, w alei drzewek pomarańczowych prowadzącej do plaży. Morza nie było widać, ale ciągnął stamtąd słonawy rześki wiaterek.

- Co myślisz o Mesjaszu? - usłyszał przejęty głos Lei.

- Ma wielką siłę wewnętrzną - odparł, czując, że sprawi jej tym przyjemność. -  
Znacie się?

Nie odpowiedziała. Usiadła na ławeczce ukrytej w głębokim cieniu przed odblaskami latarń. Zrobiła Jupe'owi miejsce obok siebie.

- Jest geniuszem - powiedziała. - Potrafi uszczęśliwiać ludzi. Postawił sobie za cel wybawić ludzkość.

- Chyba zbawić? - skorygował Jupe.

- Wybawić od zła, dać wszystkim radość.

- Słyszałem o różnych sektach... - zaczął Jupe.

- To nie jest religia - przerwała mu. - On wie, jak to zrobić, ale potrzebuje asystentów, którzy pójda w świat, dotrą wszędzie. Któregoś dnia na całej kuli ziemskiej ludzie obudzą się i będą szczęśliwi.

- Tak po prostu?

- Po prostu - zapewniła Lea.

- Chyba mam trochę inny pogląd na ludzkie szczęście - powiedział ostrożnie Jupe. - Nie można być bez przerwy szczęśliwym. To by się szybko zamieniło w nudę. Potrzeba trochę bólu, ciut goryczy, żeby potem doznać szczęścia. Zupełnie jak z jedzeniem: co za frajda ze smakołyków, jeśli człowiek nie jest głodny?

- Nie rozumiesz - rzuciła Lea ze zniecierpliwieniem.

- Być może - zgodził się szybko Jupe, jakby wiedziony intuicją. - Za mało wiem o Mesjaszu. Chciałbym uwierzyć, że potrafi dać każdemu szczęście.

- Naprawdę byś chciał? - Poczul na dłoni dotknięcie jej palców.

- Słowo - zapewnił.

- Uwierzyć to za mało. Trzeba chcieć mu pomóc.

- Gdybym uwierzył, pomagałbym Mesjaszowi - powiedział Jupe.

Palce Lei ciągle głaskały jego dłoń. Jupe'owi zrobiło się gorąco, całym sobą

chłonał delikatną pieśczętę.

Zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco, gdy ramiona Lei otoczyły mu szyję i poczuł na ustach leciutkie muśnięcie jej warg. Przelotne jak ruch powietrza. Trwało ułamek chwili.

- Uwierzysz - dotarł do niego jej szept. - A wtedy, jeżeli zechcesz, będziemy zawsze razem.

Razem we dwoje czy w większym towarzystwie? Jupe chciał o to zapytać, ale nie zapytał. Oswojony z mrokiem, patrzył w ogromne, jakby świecące od wewnątrz, oczy dziewczyny.

- Spotkajmy się pojutrze - usłyszał. - Znasz wesołe miasteczko w Inglewood? To niedaleko stąd. Będę o ósmej wieczór, przy karuzeli.

### **ROZDZIAŁ 3**

#### **TAJEMNICZA PROPOZYCJA**

Rolf Bloom oraz trzech inni uczestnicy zbiorowej ekstazy w domu towarowym Bloomingdale popełnili samobójstwo. Kilkanaście osób próbowało odebrać sobie życie, kilkadziesiąt znajdowało się w stanie głębokiej depresji, z którą nie umieli poradzić sobie lekarze. Bili Norton zbierał policyjne meldunki i przekazywał służbom specjalnym. Tam przyjmowano to z niepojętym zadowoleniem i nie udzielano w zamian żadnych informacji. "Nasz problem. Pan ma to z głowy". Ale nie miał: musiał odpierać ataki dziennikarzy, zasłaniając się dobrem śledztwa, i milczeć o służbach. Był dla nich wygodną tarczą.

Miał natomiast na głowie epidemię zniknięć młodych ludzi. Policja odnotowała już kilkanaście przypadków tajemniczych zaginięć. I zawsze tam, gdzie przedtem pojawiał się Mesjasz.

Teraz patrzył więc krytycznie i z pewnym rozczarowaniem na Jupitera Jonesa, który przekonywał go, że Mesjasz nikogo nie uprowadza ani nie namawia, aby się do niego przyłączyć, porzucając rodzinę.

- Przeciwnie - zakończył Jupe. - Prosi tylko o życzliwość dla "Drogi do raj". Przynręka mętnie, że kiedyś, w przyszłości, znajdą się przy nim wybrani, żeby wspólnie krzewić ideę powszechnego szczęścia.

- No to skąd te zniknięcia po jego wystąpieniach? - zirytował się prokurator okręgowy. - Za dużo zbiegów okoliczności.

- Nie wiem - odparł Jupe bez przekonania. - Jeszcze nie wiem...

Norton był dobrym psychologiem. Wyczuł niepewność.

- Myślę, że coś przede mną ukrywasz - zaryzykował.

- Będziemy dalej badać tę sprawę. - Jupe uciekł gdzieś wzrokiem, zatrzymał go na stojącej lampie z zielonym abażurem. - Chciałbym wiedzieć trochę więcej o Mesjaszu.

Bili Norton wyjął z szuflady teczkę z aktami. Była cieniutka. Zajrzał do środka, przerzucił parę dokumentów.

- Nazywa się Mess Howard, pochodzi z Greenwood, z przyzwoitej rodziny. Ojciec jest pastorem. Z wykształcenia nauczyciel. Nie karany. Lat dwadzieścia pięć, kawaler. Odziedziczył po ciotce spory majątek, lecz nie korzysta z niego, żyje skromnie. Mieszka w suterenie na przedmieściach Los Angeles, ciągle w rozjazdach, ma wiele spotkań z młodzieżą. To, mniej więcej, wszystko, co o nim wiemy.

- Niewiele. - Jupe skubnął dolną wargę, possał ją, znów skubnął. - Ma dużą siłę przekonywania, umie porwać słuchaczy. Nam też zawrócił trochę w głowie. Być może za parę dni dowiem się czegoś więcej.

Nie powiedział mi wszystkiego - skonstatował Bili Norton i poprosił Jupe'a, żeby był z nim w kontakcie.

Wesołe miasteczko w Inglewood było naprawdę wesołe: w takt muzycki wirował diabelski młyn, kręciła się karuzela, ludzie pękali ze śmiechu w salonie krzywych zwierciadeł, strzelali z wiatrówki do dinozaurów, łowili na haczyk plastikowe rybki, oglądali występy cyrkowców pod namiotami.

Jupe rozstał się z kolegami przed wejściem do wesołego miasteczka.

- Bądźcie w pobliżu. Utrzymujemy kontakt wzrokowy. Pamiętaj, Bob, zrób nam zdjęcie.

Bob skinął głową, potem mrugnął do Pete'a.

- Ty też zapraszałeś kumpli na swoją pierwszą randkę?

- Chyba nie - powiedział Pete. - Ale ja mam to już dawno za sobą. Też się trochę bałem za pierwszym razem.

- Zejdźcie ze mnie - mruknął Jupe. - To nie jest zwykła randka.

- A jaka? - zapytał Bob. - Nie wierzysz, że dziewczyna po prostu zakochała się w tobie?

Jupe faktycznie w to nie wierzył. Kto z miejsca traci głowę dla chłopaka z nadwagą? Choć bywa różnie, tak jak różne są gusty dziewcząt: kochają się w

podtatusiałych nauczycielach, kolegach ojców, dawno zmarłych gwiazdorch filmowych, krzywogębych piosenkarzach na haju... Grubas też człowiek. Tyle że zazwyczaj potrzeba mu więcej czasu, aby oczarować dziewczynę, na przykład swoją osobowością, fantazją, intelektem.

Nie odpowiedział Bobowi. Ruszył szybko w stronę karuzeli. Już z daleka zobaczył Leę. Była ubrana w te same wypłowiałe dzinsy i miała jeszcze większe oczy, koloru włoskiego orzecha. Kasztanowe włosy, zaczesane gładko do tyłu i spięte w węzeł, dodawały jej delikatnej twarzy wyrazu powagi. Sylwetka tancerki z nogami do szyi, z talią jak osa. Jupe stwierdził z podziwem, że nie ma wokół atrakcyjniejszej dziewczyny, i z satysfakcją podszytą niedowierzaniem, że czeka na niego.

- Jest pięć po ósmej - usłyszał. - Już się bałam, że nie przyjdiesz.

Jupe odruchowo wciągnął brzuch, wypiął klatkę piersiową, naprężył mięśnie.

- Przepraszam za pięć minut spóźnienia - powiedział, obejmując dłonią smukłe palce Lei. - Cudownie wyglądasz.

- Przejdziemy się na diabelskim młynie?

Jupe nie cierpiał diabelskich młynów, nie lubił, gdy żołądek podchodził mu do gardła, ale uśmiechnął się, skinął głową. Kątem oka zobaczył, jak Bob, zza czyichś pleców, celuje w nich obiektywem. Lea nawet nie zauważyła błysnięcia flesza.

Wsiadli do pomalowanej na fioletowo dwuosobowej gondoli. Młyn ruszył wolno, gondola popłynęła w górę. Jupe poczuł w dłoni dłoń Lei.

- Trochę się boję - usłyszał. - Opowiedz mi o sobie, Jupe.

Jupiter z ożywieniem, maskując w ten sposób niepokój o żołądek, zaczął opowiadać Lei o składzie staroci jego wujostwa, gdzie pełno jest niezwykłych przedmiotów, o wuju Tytusie i ciotce Matyldzie, zastępujących mu rodziców, potem o parze najbliższych przyjaciół, którzy mają na imię Pete i Bob, są świetnymi kumplami, byli z nim na dyskoteci w Norfolk. Nie napomknął jednak o agencji Trzech Detektywów.

- Są tacy jak ty? - zapytała Lea.

- W jakim sensie?

Gondola osiągnęła najwyższy punkt i zastygła na moment: w oddali widać było feerię świateł wieczornego Los Angeles, a w dole, bardzo daleko, snujących się ludzi o rozmiarach mrówek. Żołądek Jupe'a niebezpiecznie się skurczył, lecz szczęśliwie nie odmówił posłuszeństwa.

- Myślę, że można na tobie polegać - usłyszał głos Lei. - Nie jesteś przeciętnym

głupkiem z sieczką w mózgowicy. Jesteś wrażliwy. Nie wyglądasz na egoistę, obchodzą cię inni ludzie. Zastanawiasz się nad życiem.

- Od czasu do czasu - przytaknął Jupe.

- Twoi przyjaciele także?

- Pod tym względem jesteśmy podobni - powiedział Jupe. - Z byle kim nie mógłbym się przyjaźnić.

Gondola ruszyła w dół, coraz bardziej przyspieszając. Żołądek Jupe'a zaczął pchać się do gardła. Nie było to przyjemne.

- Ja też rozmyślałam o życiu - powiedziała Lea, wpijając się palcami w dłoń Jupe'a. - Moje życie było puste, dopóki nie spotkałam Mesjasza. Teraz nabrało sensu.

Jupiter przeczuwał, że Lea wspomni o Mesjaszu. Koło diabelskiego młyna zaczęło zwalniać. Żołądek się uspokoił, zniknęły mdłości.

- Ludzie są źli nie z wyboru, tylko dlatego, że takie panują reguły na świecie - ciągnęła Lea. - To da się zmienić.

- Nie jestem pewien - powiedział Jupe. - Jedni są źli, inni dobrzy.

- To da się zmienić - powtórzyła Lea, jakby nie dosłyszała.

- Po to objawił się Mesjasz. Kiedy go poznasz bliżej, uwierzysz tak samo jak ja, że to jest możliwe. A on potrzebuje oddanych pomocników.

- Poznam bliżej Mesjasza?

- Być może. Jeśli naprawdę chcesz zrobić coś dobrego dla ludzi.

- Z przyjemnością - powiedział Jupe.

Lea spojrzała z ukosa na Jupe'a. Chyba spodziewała się żarliwszej reakcji.

- A twoi dwaj przyjaciele? Można im zaufać?

- Na bank - zapewnił Jupe, teraz już z entuzjazmem. - Chcesz ich poznać? Są tutaj.

Lea wahała się przez kilka chwil. Młyn stanął, wysiedli z gondoli, oboje na gumowych nogach.

- Ja też jestem tu z dwiema koleżankami - powiedziała w końcu. - Możemy razem pójść na lody.

Obsiedli w szóstkę stolik na tarasie kawiarni, z widokiem na wesołe miasteczko. Heidi, posągowa blondyna w skandynawskim typie, usiadła przy Bobie, Sara - małomówna, śniada, o czarnych prostych włosach, podobna do Indianki - obok Pete'a. Zamówili lody waniliowe i coca-colę z cytryną.



Przedtem Lea zamieniła kilka słów na stronie z koleżankami, a Jupe z Pete'em i Bobem.

Jedli lody w milczeniu, obserwując bawiących się ludzi. Bob i Pete czuli, że sami są obserwowani przez dziewczęta. Bob zachowywał się swobodnie, fotografował jakieś scenki przy diabelskim młynie, później z bliska cyknął zdjęcie zajadającym lody, prosząc o uśmiech. Pete był czujny.

- Byliście wszyscy trzej na dyskotecie w Norfolk? - pierwsza odezwała się Heidi. - Słyszeliście wcześniej o Mesjaszu?

- Niewiele - powiedział Bob.

- Wiedzieliśmy, że ma tam być - dorzucił Pete. - Dlatego przyszedliśmy.

- Od kogo wiedzieliście? - zapytała Sara. Miała niski gardłowy głos.

- Już nie pamiętam - powiedział Jupe. - Chyba na stacji benzynowej. Jacyś ludzie mówili o tym.

- Co mówili? - Sara utkwiała w nich badawcze, świdrujące spojrzenie.

- Że pojawił się Mesjasz. Nazwali go fantastycznym facetem. - Bob posłał Sarze swój niezawodny, pełen wdzięku uśmiech, lecz nie wywołało to żadnej reakcji. - Że warto go posłuchać.

- Nie rozczarował was?

- Był porywający - odpowiedział Jupe. - Po prostu nami wstrząsnął. - Pete i Bob przytaknęli. - Człowiek go słucha i wierzy.

- Trzeba wierzyć - powiedziała Lea, opierając się plecami o ramię Jupe'a.

- Wierzy i tyle? - zapytała Heidi. - Nie ma ochoty sam kiwnąć palcem? Uczestniczyć we wspaniałym przedsięwzięciu? Pomóc Mesjaszowi?

- Rozumiem, że wy mu pomagacie - powiedział Jupe.

Sara spojrzała surowo na koleżanki. Żadna się nie odezwała.

- Mogłabym załatwić wam spotkanie z Mesjaszem - odezwała się po pauzie Sara. - Pod warunkiem, że gdyby on was zaakceptował, a wy jego, byłibyście gotowi współpracować.

Jupe wymienił spojrzenia z Petem i Bobem. Uzyskał ich niemą aprobatę.

- Myślę, że Mesjasz mógłby na nas liczyć - powiedział, patrząc w oczy Sarze.

- Bądźcie jutro wszyscy trzej w kościele prezbiteriańskim na Holm Street. O czwartej po południu.

Sara wstała. Wstały również Heidi i Lea. Przepraszyły, ale czas na nie.

Jupe obserwował z tarasu kawiarni, jak oddalają się, przecinają jezdnię i

wsiadają do terenowego jeepa cherokee, zaparkowanego nieopodal supermarketu. Sara siadła za kierownicą.

- Mamy zamiar współpracować z Mesjaszem? - zapytał z uśmiechem Pete. - Jeśli idzie o mnie...

Nie dokończył. Jupe przestał skubać dolną wargę.

- Zdaje się, że prokurator okręgowy prawidłowo kojarzy - powiedział. - Te zniknięcia mogą nie być przypadkowe. Dwie rzeczy mnie interesują.

- Pierwsza: na czym polega współpraca z Mesjaszem - wtrącił Bob.

- I druga, jeszcze ciekawsza: w jaki sposób ma się odbywać uszczęśliwianie ludzkości -dokończył Jupe.

Kościół wyglądał na pusty. Z ulicznego żaru wchodziło się w półmrok wypełniony przyjemnym chłodem, rozjaśniony tu i ówdzie kolorowymi plamami światła od umieszczonych wysoko witraży. Kiedy oczy przywykły do półmroku, Jupe rozejrzał się dookoła, lecz nie zobaczył nikogo. Było pięć po czwartej.

- Może z nas zrezygnowali? - wyraził przypuszczenie Pete.

- Mam nadzieję, że nie - szepnął Jupe. - Wątpię, żeby słyszeli o Trzech Detektywach.

- Pamiętaj, że masz do czynienia z Mesjaszem - uśmiechnął się leciuteńko Bob.

Czuli się trochę nieswojo w mrocznej ciszy świątyni, przenikniętej zapachem kadzidła. Gdzieś w głębi płonęły świece. Potem z góry dobiegła muzyka organowa, kilka smutnych rozciągniętych akordów, przypominających kobiecy płacz. I znowu cisza.

Jupe poczuł, że ktoś z tyłu dotyka jego ramienia.

Odwrócił się i zobaczył Leę. Miała surowy wyraz twarzy, ale w oczach odrobinę ciepła, kiedy patrzyła na Jupe'a. A może tylko tak mu się wydało.

- Chodźcie za mną - usłyszeli.

Krętymi schodkami wspięli się na chór. Przy klawiaturach organów siedział ktoś, odwrócony do nich plecami. Palce spoczywały na klawiszach.

Lea znikła. Mężczyzna powoli odwrócił się w ich stronę. Długie białe włosy opadały na lnianą koszulę rozpiętą na piersi.

Nie podał im ręki, lecz wykonał ramieniem kolisty ruch, jakby ich błogosławił.

- Witajcie - usłyszeli łagodny głos. - Tak się cieszę, że przyszliście. Słyszałem o was od dziewcząt, odniosły dobre wrażenie. Wydaje im się, że możemy być sobie

bliscy.

- Nam też się tak wydaje - powiedział Jupe. - Słuchaliśmy pana z przejęciem.

Mesjasz uśmiechnął się wstydliwie. Chusteczką przetarł szkła w drucianej oprawce.

- A potem? - zapytał. - Czy nie pojawiły się wątpliwości? Nie pomyśleliście, że jestem wariatem, opanowanym przez utopijną ideę? Takim trochę walniętym prorokiem, wieszczącym powszechne szczęście?

- Mnie to przyszło do głowy - odruchowo przyznał Bob. - Przepraszam...

Jupe skarcił go spojrzeniem, ale Mesjasz wydawał się zadowolony.

- Prawidłowa reakcja - powiedział. - Na zdrowy rozum trudno w to uwierzyć. Większość moich słuchaczy ma później wątpliwości. Nie daję przecież dowodów, że potrafię dokonać tego, co zapowiadam.

- Fakt - zgodził się Pete.

Mesjasz przyglądał im się zza grubych szkieł. Miał przenikliwe spojrzenie.

- Jeszcze nie czas na to - powiedział przepaszającym tonem. - Na razie sprawdzam, czy ludzie pragną z całego serca być lepsi. Wielu jest takich. Ale nie tak wielu gotowych zaangażować się osobiście, pójść razem ze mną na całość. Zaufać mi.

- Pan się dziwi? - zaryzykował Jupe; ta uwaga mogła nie przypaść do gustu Mesjaszowi.

Ale się mylił. Przypadła.

- Ani trochę - powiedział cicho. - Cenię waszą szczerość. Tym, których wybieram, daję dowód, że nie są to puste obietnice.

I nagle z Trzema Detektywami stało się coś dziwnego.

Wszyscy poczuli się rozkosznie szczęśliwi. Pete miał oczy pełne łez, Bob patrzył przed siebie z wyrazem rozanielenia. Jupe czuł nieprzepartą chęć rzucenia się im na szyję.

Trwało to przez krótki moment, lecz stanowiło doznanie wstrząsające.

Potem wszystko wróciło do normy.

Hipnoza? Mesjasz nawet nie patrzył na nich. Odwrócił się na ów moment, spoglądając w chłodny półmrok świątyni.

Jupe wyczuł za plecami czyjąś obecność. To była Sara. Stała, oparta o filar, trzymając ręce z tyłu i przechylając głowę. Jej indiańska twarz nie wyrażała niczego, jakby dziewczyna ich nie poznawała.

- Otrzymaliście dowód - usłyszeli głos Mesjasza. - Pójdziecie za mną?

Pete chciał zapytać, dokąd mieliby pójść, ale Jupe nie dopuścił go do głosu.

- Pójdziemy za panem - powiedział z mocą.

Mesjasz zbliżył się do nich. Biel jego włosów była niezwykła, nie miała nic wspólnego z siwizną. Przypominała raczej włosy anielskie, jakimi zdobi się choinkę.

- Od tej chwili musi was obowiązywać tajemnica - rozległ się jego ściszony, łagodny głos. - O tym, co zobaczycie i przeżyjecie, nikt nie może się dowiedzieć. Muszę was prosić o złożenie przysięgi. Jej złamanie grozi, niestety, strasznymi konsekwencjami, więc zastanówcie się przedtem. Jeszcze jest czas, aby się wycofać.

- Ja przysięgam - Jupe podniósł do góry dwa złożone palce.

Pete i Bob zrozumieli, że i oni muszą zrobić to samo. Moment był decydujący.

Podnieśli w górę palce.

## ROZDZIAŁ 4

### FARMA NA PUSTKOWIU

Jeep cherokee zjechał z autostrady na drogę lokalną, z tej drogi na wyboisty trakt. Pojawiły się sosnowe zbocza gór Sierra Nevada, najpierw łagodne, później coraz bardziej strome. Trakt, pocięty koleinami, wił się wśród skał, kluczył nad przepaściami, pnąc się stromo w górę. Okolica stawała się dzika, nie widać było żadnych domostw. Od czasu do czasu jeep, prowadzony pewnie przez Sarę, przeskakiwał rozpadliny i wtedy Jupe przymykał oczy i bezwiednie przyciskał się do siedzącej obok Lei. Szczerze mówiąc, skoki terenowego samochodu były pretekstem, aby przytulić się na moment do dziewczyny. Jupe zauważył, że to samo robi Bob, siedzący przy Heidi. Pete, na przednim siedzeniu, rozglądał się dookoła, podziwiając bujną roślinność, która zdawała się nie mieć dotąd kontaktu z człowiekiem.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Sarę.

- Zobaczysz - usłyszał.

- Zdrowo nas trzęsie. Ciekawe, kto dłużej wytrzyma, my czy samochód.

- Już niedaleko.

Pete jeszcze raz postanowił pociągnąć Sarę za język. Dotychczas Indianka (może Meksykanka?) nie była rozmowna, z trudem udawało się wydobyć z niej słowo. Miała twarz o kamiennym wyrazie, pozbawioną mimiki.

- Byłaś przy naszym spotkaniu z Mesjaszem - powiedział. - Poczulaś to samo co my?

- Uważaj. Zakręt.

Wyrzuciłoby go z siedzenia, gdyby nie pasy. Jeep przechylił się niebezpiecznie nad krawędzią przepaści, ale potężny napęd na cztery koła wyniósł go na prostą. Lea pisnęła. Tym razem ona przycisnęła się do Jupe'a. I nie cofnęła się od razu.

- My trzej doznaliśmy dziwnego wstrząsu - ciągnął Pete. - Jakiegoś wariackiego uszczęśliwienia. Na chwilę. A ty? Przecież stałaś obok.

- Chwila wystarczy.

- Jak to się stało? Hipnotyzer wpatruje się w medium, coś mu wmawia. A Mesjasz nawet nie patrzył w naszą stronę.

- On nie hipnotyzuje.

- Daj spokój - Pete zaśmiał się. - Coś musiał z nami zrobić.

- Nic.

- Chcesz powiedzieć, że człowiek sam z siebie nagle głupieje ze szczęścia?

Sara nie zareagowała. Była zajęta prowadzeniem wozu, a umiała to robić rajdowe. Jeep wspinał się na stromizny i pokonywał bezdroża jak kozica górską. Wkrótce przed jadącymi roztoczył się widok na turkusową dolinę. Pośrodku białło ranczo, otoczone wysokim murem z czerwonej cegły.

Samochód spłynął w dół kamienistą ścieżką, wijącą się między krzewami, i stanął przed bramą wjazdową. Sara otworzyła ją pilotem.

- Jesteśmy na miejscu - szepnęła Lea i na krótki moment przytuliła się do Jupe'a.

Jeep zaparkował na podjeździe, obok trzech innych wozów terenowych.

Kotlinka naprzeciw białego budynku przypominała amfiteatr. Na niskich ławkach ustawionych w kręgi siedzieli chłopcy i dziewczęta w jednakowych lnianych koszulach sięgających kolan. W dole, pośrodku niewielkiej areny wysypanej żwirem, stało proste drewniane krzesło.

Lea i Heidi przysiadły na ławce obok grupki dziewcząt. Sara wprowadziła Trzech Detektywów na arenę.

- Przedstawiam wam nowych przyjaciół: Jupiter, Pete i Bob. Są po przysiędze, zostaną z nami.

- Hej! Cześć! Jak się macie! - dobiegły zewsząd głosy.

- Przywitajmy ich po naszymu.

Z wielkiego megafonu zawieszono na drzewie popłynęła skoczna melodia. Amfiteatr podchwycił ją. Była to wesoła pieśń o przyjaźni i braterstwie oraz wierności Mesjaszowi. Potem wszyscy umilkli, a z białego farmerskiego domu wyszedł Mesjasz i wkroczywszy na arenę, pobłogosławił wszystkich wzniesieniem ramion. Rozległy się oklaski.

- Lea, Sara i Heidi będą waszymi przewodniczkami - powiedział do Trzech Detektywów, kiedy oklaski ucichły. - Usiądźcie przy nich. Dziś pomówimy o opiece nad szczęśliwym społeczeństwem - zaczął, gdy Jupe, Pete i Bob zajęli miejsca na ławce obok dziewcząt. - Szczęśliwi ludzie są jak dzieci. Na was, moi drodzy, spocznie obowiązek pokierowania nimi, aby życie biegło normalnie.

Mówił przez pół godziny, sugestywnie, łagodnym, ciepłym głosem. Był to instruktaż przypominający wykład dla przedszkolaków.

Potem wszyscy rozeszli się do zajęć. Na farmie były stajnie, obory, duży ogród

warzywny.

- Jesteśmy tu samowystarczalni - tłumaczyła Lea, oprowadzając Jupe'a po gospodarstwie. - Każdy ma swoje zadania, wy też je otrzymacie. Co powiesz o koniach? Potrzebujemy kilku stajennych.

Jupe odparł, że on i jego koledzy bardzo lubią konie. Zapytał, jak długo tu będą i kiedy ma nadejść ów Wielki Dzień Uszczęśliwiania, o którym kilka razy wspomniał Mesjasz w swoim wykładzie. Usłyszał, że już niedługo.

Przydzielono im wspólny pokój w narożnym skrzydle: trzy żelazne łóżka, trzy szafki, stół, składane krzesła. Na ścianie wisiał głośnik. Lea wyjaśniła, że na farmie nie ma radiodbiorników, telewizji, a nawet telefonu. Według Mesjasza kontakty ze światem zewnętrznym nie są wskazane: przeszkadzałyby w koncentracji nad zadaniami, które czekają wybranych.

- Nie macie ze sobą telefonów komórkowych? - spytała.

- Nie - odpowiedział szybko Jupe; swój miniaturowy aparat miał ukryty na dnie plecaka w saszetce z przyborami toaletowymi. - Czy wolno opuszczać ranczo?

- Cieszymy się tutaj pełną wolnością - powiedziała Heidi. - Mesjasz jednak oczekuje, że będziemy trzymać się razem.

- Po co stąd wychodzić? - dodała Sara. - Naokoło głusza. Nikogo w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Nawet myśliwi nie zapuszczają się w te strony.

- To po co mur i zamykana brama? - spytał Pete.

- Nie wpuszczamy obcych. Teren prywatny. Pamiętajcie o przysiędze?

Kiedy zostali sami, Jupe ruchem głowy wskazał na głośnik i zaproponował obejrzenie stajni, gdzie od jutra mieli pracować. Wyszli na zewnątrz budynku.

- Głośnik może działać w obie strony - wyjaśnił szeptem.

- Podejrzewam podsłuch.

- Długo tu będziemy? - zapytał Pete. - jakoś nie palę się do farmerskich zajęć.

- Naliczyłem w amfiteatrze dwadzieścia trzy osoby - powiedział Jupe. - Myślę, że są to ci zaginieni. Trzeba sprawdzić.

- Ciekawe, jak się potem stąd wydostaniemy - mruknął Bob.

Leniwie przechadzając się, podeszli do bramy. Nie miała zamków; skrzydła rozsuwały się tylko na sygnał pilota. Trzymetrowej wysokości mur, otaczający ranczo, był zwieńczony drutem kolczastym na wygiętych do wewnątrz metalowych wspornikach.

- Solidna obrona przed inwazją - zauważył Pete.

- Raczej przed próbami ucieczek - powiedział Jupe, patrząc ponad murem na czerwonawe postrzępione szczyty gór otaczających dolinę. - Bardzo ładnie tutaj.

- Bardzo ładnie - przytaknął głośno Bob i cicho zapytał: - Dlaczego przed uciezkami?

Jupe wskazał na wsporniki.

- Jak w więzieniu, przechylone do środka. Trudniej sforsować. Nie narzucisz koca na drut kolczasty.

Dostrzegł w pojemniku na śmieci blaszaną puszkę po coca-coli. Podrzucił ją w górę tak, aby zaczepiła o druty. Zaiskrzyło.

- Są pod napięciem - szepnął. - Tak przypuszczałem.

Pod wieczór amfiteatr zamienił się w dyskotekę. Poprzedziło ją krótkie przemówienie Mesjasza, jak zawsze magnetyzujące słuchaczy: dziejowa misja, szlachetne posłannictwo.

- W niedalekiej przyszłości na kuli ziemskiej staną wasze pomniki, waszymi imionami zostaną nazwane miasta - zakończył. - Ale nie dla sławy pragniemy uszczęśliwić ludzi i zmienić bieg dziejów. Czujemy wewnętrzną potrzebę służenia innym. Chcemy stworzyć nowy, wspaniały świat. Religie tylko obiecują nagrody gdzieś na tamym świecie, w zamian za pokorę i wyrzeczenia. Gdzie jest tamten świat, czy w ogóle istnieje? Nikt tego nie dowiódł. My uczynimy nasz świat pięknym, bez wymuszania na ludziach poświęceń, rezygnacji, modłów. Twórcy religii nie rozumieli Boga. On nie potrzebuje świątyń ani pokłonów. Po co Mu to? Jeśli Bóg jest dobrem, nam życzy tego samego. A my wesprzemy jego dzieło jako pierwsi, którzy pojęli prawdę. - Zrobił pauzę, odetchnął głęboko. - Jesteście gotowi? - rzucił z nieoczekiwaną mocą.

- Jesteśmy! - padła chóralna, przepelniona entuzjazmem odpowiedź i zagrzmiały oklaski.

Oddalił się, wstydliwie uśmiechnięty, zażenowany aplauzem. W ślad za nim pośpieszyły Sara, Lea i Heidi. Z głośników trysnęła muzyka, wszyscy zaczęli tańczyć. Pieguska z zadartym nosem pociągnęła za sobą Boba, inna dziewczyna porwała na arenę Pete'a.

Jupe stanął na uboczu, ukryty przed blaskiem lampionów otaczających amfiteatr. Przyglądał się rozbawionemu tłumkowi, w zamyśleniu skubiąc dolną wargę. Jeśli wszyscy są tu dobrowolnie, to po co druty kolczaste, na dodatek pod prądem? I po co ta cała tajemniczość, zaklepana przysięgą? Dlaczego Mesjasz straszył ich, że za



złamanie przysięgi grożą potworne konsekwencje? Miło tutaj. Nic złego się nie dzieje. Mesjasz to sympatyczny facet, raczej niegroźny idealista. Młodzież dobrze się bawi, ma fajne wakacje.

Zaraz, zaraz... A dziwne przeżycie w kościele? Te wstrząsające odczucia, jakich doznali równocześnie wszyscy trzej?

W cieniu, poza kręgiem światła, Jupe dojrzał jakąś samotną postać. Ktoś stał pod palmą, obejmując ramieniem smukły pień. Jupiter ruszył wolno w tamtym kierunku, zatrzymał się parę kroków od dziewczyny, ubranej jak cała reszta w białą lnianą koszulę do kolan.

Nie zauważyła go. Chyba płakała. Jupiter słyszał tłumione pochlipywanie.

Podszedł bliżej.

- Nie przeszkadzam? - odezwał się przeprasającym tonem. - Może mógłbym pomóc?

Dziewczyna odwróciła się, zalekniona.

- Nic mi nie jest - powiedziała szybko. - To tylko tak. - Całą twarz miała mokrą od łez. - Jestem tu krótko, dopiero drugi tydzień. Koleżanki mówią, że mi przejdzie.

- Tęsknisz za domem? - odgadł Jupe.

- Za mamą i braciszkiem - wyznała dziewczyna. - Najgorsze, że ich nie uprzedziłam. Zostawiłam tylko kartkę, żeby się nie martwili, tak jak kazał Mesjasz. Ale wiem, że się martwią. Ja też się boję o nich, mama na pewno odchodzi od zmysłów.

- Możesz wysłać do nich liścik, że czujesz się dobrze i wszystko jest w porządku - doradził Jupe.

- Coś ty. Nie wiesz, że stąd nie można pisać?

- No tak - zgodził się Jupe. - Ale asystentki Mesjasza często jeżdżą do miasta. Gdybyś poprosiła którąś z nich, żeby zadzwoniła do twojej matki...

- Żartujesz - przerwała mu. - To by było złamanie przysięgi. Wiesz, co za to czeka.

- Nie bardzo - powiedział Jupe.

- Walter chciał stąd uciec. Nie żyje. Miał szesnaście lat...

- Jak to? - Jupe poczuł, jak ciarki przechodzą mu po grzbiecie. - Przecież jesteśmy tu dobrowolnie. Mamy prawo wychodzić z rancza, kiedy zechcemy.

- Lepiej nie próbuj - powiedziała dziewczyna. - Miałbyś do czynienia z Sarą.

- Co było z Walterem? - zapytał Jupe.

- Chciał nocą przeleźć przez mur, ale nie wdrapał się nawet do drutów

kolczastych. Mury są śliskie, chyba czymś posmarowane.

- Spadł i się zabił? Z wysokości trzech metrów? To raczej niemożliwe.

- Skręcił tylko nogę - powiedziała szeptem dziewczyna, rozglądając się dookoła niespokojnie. - Sara się nim zajęła. Nazajutrz zasłabł. Zawiozła go do miasteczka, pięćdziesiąt kilometrów stąd. Kiedy dojechali, już nie żył. Stwierdzono zgon na atak serca.

- Może bym mógł nawiązać kontakt z twoją matką i uspokoić ją - wyszeptał Jupe. - Jak się nazywasz?

- Mary Blacksmith. Telefon 849-45-35, Los Angeles. Ale nie wygadaj się przed nikim...

- Bez obaw - zapewnił Jupe. - Dowie się, że z tobą wszystko w porządku.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Policzki już jej wyschły.

Bob postanowił odszukać Heidi. Jest jego przewodniczką, więc powinna mu towarzyszyć, także podczas zabawy. Obszedł cały teren wokół domostwa, zajrzał do obory i stajni, przespacerował się po ogrodzie. Nigdzie nikogo. Tylko od amfiteatru dobiegała muzyka, dolatywały rozbawione głosy.

Zawrócił, zbliżył się do budynku. Światła paliły się tylko w jednym pokoju, chyba największym, przylegającym do tarasu. Wiedziony ciekawością, Bob wspiął się na taras.

W oknach nie zaciągnięto zasłon, jedno z nich było uchylone. Bob zobaczył obszerne wnętrze, schludne i urządzone z prostotą: trochę mebli z surowego drewna, kilka obrazków na ścianach, wąskie łóżko przykryte białym futrzakiem. Przy stole na zydlach siedzieli Sara i Mesjasz.

- Miał skończyć jeszcze w tym miesiącu - dobiegł łagodny głos Mesjasza. - Nie możemy długo czekać.

- Powstały pewne komplikacje, mistrzu - powiedziała Sara. - Musimy być cierpliwi.

- Czy on ma już pewność, że skutki nie będą takie jak wtedy - zapytał Mesjasz. - Przyszedł, że to wyeliminuje.

- Dotrzyma przyrzeczenia.

- Chciałbym jednak zobaczyć się z nim osobiście - powiedział cicho Mesjasz. - Czuję, że powinienem być obecny podczas końcowych doświadczeń.

- On uważa, że nie ma takiej potrzeby, mistrzu. Bierze na siebie całą

odpowiedzialność.

- A jeśli to nie zadziała tak, jak się spodziewamy? - W głosie Mesjasza Bob wyczuł niepokój. - Jeśli powtórzy się to, co wówczas? Całe moje życie utraciłoby sens, Saro. Nasza nadzieja okazałaby się zbrodnią. Nie przeżyłbym tego.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła Sara z niezwykłym u niej ciepłem, jakby mówiła do dziecka. - Bądź spokojny, mistrzu.

- Mimo to chciałbym się z nim spotkać. Poznać go wreszcie. Proszę, Saro.

- To dziwak i odludek. Ale porozmawiam z nim. Będę u niego jutro. Może potrafię go przekonać, aby cię przyjął.

Mesjasz wyciągnął ręce ponad stołem i położył je na głowie Sary. Indiańska twarz dziewczyny przybrała wyraz spokoju graniczącego z błogością. Po chwili ujęła dłoń Mesjasza i zbliżyła do ust, składając na niej pocałunek.

Bob zeskoczył z tarasu.

Jupiter i Pete wysłuchali w milczeniu jego relacji. Jupe pogryzał i skubał dolną wargę.

- Tutaj niczego już nie odkryjemy - powiedział po pauzie. - Czas się zbierać.

- Chętnie, tylko jak? - mruknął Pete. - ja pokonałbym może ten cholerny mur, ale ty... wątpię - popatrzył krytycznie na Jupe'a.

- Był tu chłopak, który próbował sforsować mur, i już nie żyje - powiedział Jupe.

- Nazywał się Walter, miał szesnaście lat. Zmarł w tajemniczych okolicznościach.

W twarzy Pete'a zobaczył to, czego się spodziewał: grymas lęku. Z pewnym zawstydzeniem uświadomił sobie, że czuje satysfakcję.

- Z bramą chyba sobie poradzę - usłyszeli głos Boba. - To prosty mechanizm na impuls elektroniczny z pilota. Powinien mi wystarczyć scyzoryk. Ale co dalej? Nie będziemy wędrować nocą kilkudziesięciu kilometrów przez te górskie bezdroża.

- Wolałbym nie - przyznał Jupe. - Chyba że nie znajdziemy innego wyjścia.

- Jeśli otworzy się brama, inne wyjście biorę na siebie - powiedział Pete. - Tylko co z przysięgą?

- Jesteś aż tak zabobonny? - uśmiechnął się kpiąco Bob. - Wierzysz w klątwę Mesjasza?

- Wierzę, nie wierzę, a jak coś nam się stanie złego... - Pete nie dokończył, popatrzył w niebo wytapetowane gwiazdami.

Naradzali się w ogrodzie. W kolejnych oknach gasły światła. Zbliżała się północ.

- Spotykamy się przy bramie za dwie godziny - zarządził Jupe.

Ranczo spało, kiedy ukradkiem wymknęli się z budynku. Podeszli do bramy. Bob uklęknął przy szarej skrzynce, szybko otworzył szpikulcem scyzoryka metalowe drzwiczki i w świetle osłoniętej latarki, trzymanej przez Jupe'a, zaczął majstrować ostrzem we wnętrzu mechanizmu. Znalazł w gąszczu kabelek dwa właściwe przewody, odłączył je, odkręcając śrubki, i zetknął ze sobą na moment ich miedziane końcówki. Strzeliła iskierka. Skrzydła bramy rozsunęły się bezszelestnie.

- A teraz za mną - szepnął Pete.

Pobiegł na podjazd, gdzie stały samochody terenowe. Usiadł za kierownicą jeepa, wrzucił na luz dźwignię biegów i zwolnił ręczny hamulec. Dał znak kolegom, żeby pchali. Najpierw wóz wytoczył się tyłem z parkingu, później ruszył wolniutko w stronę bramy. Jupe i Bob byli nieźle spoceni, kiedy ją minął, ale Pete kazał pchać dalej. Jeep stanął za zakrętem, w stumetrowej odległości od rancza.

Bob zawrócił. Złączył końce przewodów, zatrzaskał drzwiczki w szafce i w ostatniej sekundzie zdążył przeskoczyć między zbiegającymi ku sobie skrzydłami bramy.

Pete pracował przy kablach rozrusznika. Silnik zawarczał. Jeep ruszył przed siebie, bez świateł, po omacku minął kilka zakrętów, dopiero wtedy zapłonęły reflektory. Wóz przyśpieszył, brawurowo pokonując wyrwy i kamienie.

- Mesjasz nam tego nie daruje - zauważył Bob.

- A Lea Jupe'owi - dorzucił z uśmiechem Pete.

- Lepiej myśl o Sarze - odciął się Jupe. - Widziałem, jak się na nią gapiłeś. Indianki są pamiętliwe.

- I dobre w klątwach - dodał Bob. - Może ci odpaść ucho albo wyskoczyć pypeć.

- Jaki pypeć? - nie zrozumiał Pete, pochłonięty manewrowaniem kierownicą przy pokonywaniu kolejnych przeszkód na kamienistej ścieżce.

- Na języku - wyjaśnił Jupe. - Żebyś nie był taki dowcipny.

Wbrew sobie zaczął myśleć o Lei. Czy na pewno się mylił biorąc jej zachowanie za wyraz szczególnej sympatii? Być może, wykonywała tylko polecenia Mesjasza, werbując go do grupy. Ale nie musiała przecież przytulać się, musnąć mu warg przelotnym pocałunkiem. Mogła być tylko miła. Jeszcze nadarzy się okazja, żeby to wyjaśnić, pomyślał, wytłumaczyć, kim naprawdę są i jakie wykonywali zadanie.

Wrócił myślami do relacji Boba z podsłuchanej rozmowy Mesjasza z Sarą.

Kim jest ten ktoś, o kogo dopytywał się Mesjasz? Dlaczego ten człowiek nie chce

z nim rozmawiać, a spotyka się z Sarą? Jakie eksperymenty prowadzi? Czy nie ma to związku z misją Mesjasza? “Moje życie straciłoby sens. Nie przeżyłbym tego. Nasza prawda okazałaby się oszustwem”. Co by to mogło znaczyć? Jupe przeczuwał, że znaczy bardzo wiele, być może jest kluczem do tej dziwnej sprawy.

Pete był doskonałym kierowcą, ale nie nocą, na prawie nieprzejezdnym górskim szlaku, w snopie światła drążącym tylko wąski tunel w smolistej ciemności pełnej niebezpieczeństw. Gdzieś tu było urwisko. Przepaść. Nawis skalny. Najmniejszy błąd i wóz polecą w czarną czeluść piekieł. Brrr... W takich warunkach nie ma dobrych kierowców. Są tylko kierowcy lekkomyślni albo ostrożni. Pete należał do ostrożnych.

- Nie mógłbyś jechać szybciej? - mruknął Bob.

- Nie mógłbym - odmruknął Pete.

- Po co gnać? - pogodził ich Jupe. - Oni nie będą nas tu ścigali po nocy, nie są wariatami.

- Trochę są - powiedział Bob. - Kiedy znaleźliśmy się na ranczo, Heidi z miejsca przestała się mną interesować.

- Tak jak mną Sarą - potwierdził Pete.

- To jeszcze nie świadczy, że są wariatkami - zauważył złośliwie Jupe.

- Z Leą było inaczej? - zapytał Bob.

Jupe chciał odpowiedzieć, że nie dał Lei szans, tak samo jak oni swoim adoratorom, uciekając już pierwszej nocy. Ale nie odpowiedział. Po głowie zaczął mu chodzić pewien plan.

## ROZDZIAŁ 5

### EKSTAZA NA CMENTARZU

Do swojej sztabowej przyczepy na składowisku staroci w Rocky Beach dotarli jeszcze przed świtem i nie zabawili tam długo. Jeepa porzucili w pobliżu posterunku policji: niech się nim martwi sierżant Mat Wilson, tutejszy posterunkowy i ich stary znajomy. Policja szybko odnajdzie właściciela.

Na automatyczną sekretarkę nagrał się Bili Norton. Prosił Jupe'a, żeby zajrzał do jego biura w pilnej sprawie.

- Podjadę do niego - powiedział Jupe do Pete'a. - A ty i Bob wracacie mustangiem do Bluepoint. Tak się nazywa ostatnie miasteczko przed farmą. Według Boba, Sara powiedziała Mesjaszowi, że wybiera się dzisiaj do człowieka, który z nim nie chce się spotkać. Zaczajcie się i poczekacie na nią. Musi tamtędy przejeżdżać. Ustalcie, z kim się spotka.

- Spróbujemy - zgodził się Pete; tajemnicza Indianka mocno go intrygowała, czuł szczególny pociąg do niezwykłych dziewczyn, choć nadal był wierny Dianie Bundy.

- W razie niebezpieczeństwa obowiązuje zasada: rozdzielić się - przypomniał Jupiter.

Pete i Bob wyruszyli w drogę. Jupiter, zgodnie z solennym przyrzeczeniem, pomógł wujowi Tytusowi poskładać rokokową komódkę, zakupioną na wyprzedaży. Zajęło im to godzinę. Drugą Jupe spędził polerując komódkę specjalną miksturą pomysłu ciotki Matyldy, aż nabrała słonecznego blasku. Potem wybrał się na posterunek policji, aby odwiedzić sierżanta Wilsona.

Jeepa cherokee już odnaleziono.

- Wiadomo, do kogo należy? - zapytał Jupe.

- Jeszcze nie sprawdziłem w komputerze - powiedział Mat Wilson. - Dlaczego cię to interesuje?

- Piękny wóz - odpowiedział Jupe. - Obejrzałem go sobie na parkingu przed posterunkiem. Gdyby nie odnalazł się właściciel, pójdzie na policyjną licytację. Może mógłbym go kupić, mam trochę oszczędności.

- Takich wozów się nie porzuca - zaśmiał się sierżant. - Ale zaraz sprawdzimy.

Wziął ze sobą protokół z danymi samochodu i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Jupe, by skrócić sobie czas oczekiwania, zajrzał do leżącej na biurku

gazety. Był to świeży numer "Los Angeles Sun". Na pierwszej stronie, wielkimi literami, wybito tytuł: "Powtórka z Bloomingdale? ZBIOROWA EKSTAZA NA CMENTARZU". Jupe nie zdążył przeczytać artykułu, bo wrócił Mat Wilson.

- Samochód należy do niejakiej Sary Rogers, zamieszkałej w Santa Clara. Nie zgłosiła dotąd kradzieży, co jest trochę dziwne, ale z pewnością go nie porzuciła.

- Trochę dziwne - zgodził się Jupiter. - Gdybym miał jej adres albo telefon, porozmawiałbym z nią. Może odstąpi jeepa po okazyjnej cenie. Ludzie przestają lubić swoje auta, gdy jeździł nimi złodziej.

- Co ty kombinujesz? - zapytał sierżant Wilson z profesjonalną podejrzliwością.

- Wiesz coś o złodzieju?

- Nic a nic - odparł Jupe. - To nawet nie musiała być kradzież, a ja szukam okazji. Dostanę od pana adres pani Rogers?

Mat Wilson wzruszył ramionami. Nie widział powodu, aby odmówić szefowi Trzech Detektywów, który nie raz służył mu pomocą w różnych zawiłych sprawach. Zajrzał do wydruku komputerowego.

- Sara Rogers, Meadowbrook 1615, Santa Clara. Studentka szkoły pielęgniarstwa.

Dał mu nawet kartkę, na której Jupe zapisał nazwisko i adres właścicielki jeepa.

Bob i Pete siedzieli za stołem przy oknie w barze McDonald's i bez pośpiechu jedli podwójne hamburgery ze śliwkowym keczupem. Bar położony był na skraju Bluepoint, a panoramiczne okno, wychodzące na góry i na szosę prowadzącą w ich kierunku, stanowiło świetny punkt obserwacyjny. Obok znajdowała się stacja benzynowa Texaco.

- Możemy tu czekać do nocy - mruknął Bob. - Nie cierpię hamburgerów.

- Trzeci hamburger zawsze smakuje gorzej - zgodził się Pete. - Musimy wolniej jeść, żeby na dłużej starczyło.

Było już późne popołudnie. Z nieba lał się słoneczny żar, barowa klimatyzacja opierała mu się z trudem. Bob przywołał kelnera i zamówił dużą colę z podwójną porcją lodu. Kelner był rudy, niewiele starszy od nich i chyba dumny z sypiącego się wąsa.

- Dokąd prowadzi ta szosa? - zapytał Pete.

- Zaraz za miastem skręca w lewo do autostrady - odpowiedział kelner.

- A prosto?

Szlak turystyczny, ale zero turystów. Nieciekawa okolica. Lepiej iść w prawo, do Moon Valley, tam jest rezerwat górski.

- Podobno droga na wprost prowadzi do jakiejś farmy - powiedział Pete.

- Farma była, ale się zmyła - odparł rudy, stawiając przed Bobem firmowy kubek pełen lodu z domieszką coli. - Opuszczona od lat. Należała do Rogersów, wynieśli się stąd, kiedy byłem jeszcze szczeniakiem. Czekać tu na kogoś?

- Na lepsze czasy - mruknął Bob, płacąc za lód z colą.

- Już nie czekamy - powiedział Pete i trącił łokciem Boba.

Przed stacją benzynową zatrzymał się granatowy jeep powleczoney kurzem. Wysiadła z niego Sara. Pracownik stacji zabrał się do napełniania baku, a Sara weszła do supermarketu sąsiadującego ze stacją. Wyszła stamtąd, obciążona torbami z jedzeniem, i zaczęła je upychać do dużego plastikowego worka.

Jeep ruszył. Pete i Bob wybiegli z baru, szybko wsiedli do mustanga i ruszyli w ślad za nim. Dzięki nowemu silnikowi, zakupionemu przez Pete'a na cmentarzysku aut (powypadkowa okazja: miazga z karoserii, a motor nietknięty), jego gruchot ciągnął jak rakieta i miał fantastyczne przyśpieszenie. Ale śpieszyć się nie należało. Jeep jechał z przepisową prędkością, pozwalając wyprzedzać się piratom drogowym w bajeranckich bolidach. Pete trzymał się od niego z daleka, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów jeep skręcił z szosy w boczną drogę, opadającą w kierunku wybrzeża. Była dostatecznie kręta, aby Sara nie spostrzegła, że ktoś za nią jedzie. Mijali rzadko rozrzucone farmy, pola kukurydziane, plantacje pomarańczy i palm kokosowych.

Jeep znowu skręcił. Wąska, wijąca się serpentyną i coraz bardziej wyboista droga wiodła w kierunku zatoki oprawionej półkolem skał. Opadała w dół, prowadząc do niegościnniej kamienistej plaży.

- Dalej nie jedziemy - mruknął Pete i zaparkował mustanga na półce skalnej, pod daszkiem dzikich krzewów. - Zauważyłaby. Będziemy na dole pierwsi.

Miał rację. Skacząc z głazu na głaz i klucząc pośród kłującej gęstwiny, dotarli do plaży przed jeepem. Wokół było pusto. Fale lizały leniwie bryły skał zielone od wodorostów. Od zachodu piętrzyło się strome urwisko, wbijając w wodę ostre kamienne szpony. Między szponami kłębiły się fale, wyrzucając ku górze bryzgi piany.

Bob i Pete, ukryci za masywnym głazem cuchnącym rybami, obserwowali, jak jeep nadjeżdża wolno i zatrzymuje się tuż pod ścianą urwiska. Sara wysiadła.



Wyciągnęła z wozu worek z żywnością i gumowy ponton. Szybko napompowała go sprężonym powietrzem z pojemnika.

Zepchnęła ponton na wodę. Wprawnie wiosłując, skierowała go ku kipiącym przesmykom między szpikulcami skał.

- Zaraz nam zniknie - szepnął Pete i zaczął się rozbierać.

- Płynę z tobą - powiedział Bob.

- Zostajesz. Masz mnie ubezpieczać. Jeśli nie wrócę do zmroku, walisz po Jupe'a.

Bob został na brzegu. Przypomnił sobie nakaz Jupitera - w razie czego mają się rozdzielić. Pete, w przeciwieństwie do Boba, był doskonałym pływakiem.

Jupe wrócił z posterunku do przyczepy. Nie miał tej wprawy co Bob w komputerowych kombinacjach, ale tu nie trzeba było mistrzostwa. Przez internet bez większego trudu wszedł do bazy danych biura ewidencji mieszkańców w Santa Clara. "Rogers Sara, Meadowbrook 1615" - wystukał na klawiaturze.

Po minucie nadeszła informacja wypełniająca cały ekran. Jupe dowiedział się z niej, że rodzina Rogersów mieszka pod tym adresem od czterech lat, że składa się z Juana Rogersa, agrotechnika, jego żony Emmy, syna Noego oraz młodszej córki Sary, uczennicy szkoły pielęgniarstwa w Los Angeles. Daty urodzenia, numery kart ubezpieczeniowych, symbole praw jazdy. Juan i Emma Rogersowie prowadzą sklep ze sprzętem ogrodniczym na Main Street w Santa Clara. O Noem nie było żadnych informacji. Kiedy Jupe próbował się do nich dokopać, wyskoczył mu w końcu napis DANE ZASTRZEŻONE.

Schował wydruk do kieszeni i zadzwonił do Los Angeles pod numer 849-45-35.

- Czy pani Blacksmith? - zapytał.

- Kto mówi? - odezwał się słaby kobiecy głos.

- Mam dla pani pozdrowienia od córki - powiedział Jupe.

Głos w słuchawce na chwilę zamilkł, po czym wybuchnął:

- Dlaczego ją więzicie?! Co złego wam zrobiła?! Gdzie ona jest?!

- Proszę się uspokoić, pani Blacksmith. Mary jest cała i zdrowa. Bardzo tęskni za panią i braciszkiem.

- Posłuchaj, człowieku - głos kobiecy stwardniał. - Nie jesteśmy bogaci, ale sprzedam dom i oddam wam wszystko co do centa. Przysięgam na życie moich dzieci, że nie zawiadomię policji. To będzie uczciwa transakcja. Weźmiecie pieniądze i

zwrócić mi córkę. Gdzie i kiedy możemy się spotkać?

- Nie jestem porywaczem - powiedział łagodnie Jupe. - Nikt nie uprowadził Mary, odeszła z domu dobrowolnie. Na pewno zostawiła liścik, żeby się pani o nią nie martwiła.

- To nic nie znaczy, pod presją pisze się wszystko. Nie pytam, kim jesteście, chcę wam zapłacić za moje dziecko. Sprzedam dom i samochód.

- Nie jestem porywaczem - powtórzył Jupe. - Spełniam tylko prośbę Mary. Przyrzekłem, że jeśli będę mógł, przekażę pani od niej wiadomość.

- Kiedy ją widziałeś? - spytała po pauzie kobieta.

- Wczoraj. Na razie nic jej chyba nie grozi.

- Co to znaczy "na razie", "chyba"?! - w głosie pani Blacksmith pojawiły się nutki hysterii. - Gdzie jest Mary? Policja jej szuka w całym stanie, a ty mi tu pleciesz bzdury! Nie jesteś porywaczem? To mów, kto i gdzie ją więził

- W zasadzie nie jest uwięziona... - Jupe zająknął się. - Znalazła się tam dobrowolnie.

- Gdzie "tam"? Błagam, powiedz, zlituj się nad matką!

- Czy razem z Mary znikł ktoś z jej znajomych? - zapytał Jupe. - Koleżanka? Kolega?

- Kate Grant, jej przyjaciółeczka! - wykrzyknęła pani Blacksmith. - Przedtem ciągała ją na jakieś durne nabożeństwa, a potem obie przepadły. To Kate musiała namówić Mary do ucieczki. Moje biedne dziecko, jest taka naiwna i dobra, taka romantyczna. Zwróćcie mi ją?

- Wkrótce będzie w domu - zapewnił Jupe, udając głębokie przekonanie, i odłożył słuchawkę, nie czekając na reakcję pani Blacksmith.

Pete płynął między skałami, omijając wiry wodne i nie spuszczał z oka pontonu, który kierował się w stronę ściany urwiska. W obawie, żeby Sara go nie dostrzegła, płynął przeważnie pod wodą, tylko na chwilę się wynurzając.

Kiedy wynurzył się po raz kolejny dla nabrania tchu, ogłuszył go łomot spadającej wody. Miał przed sobą wodospad; lawina wodna leciała w dół ze szczytu urwiska, tworząc iskrzącą się, nieprzeniknioną zasłonę.

Ponton zniknął.

W pobliżu nie było już skał, tylko buzująca kipiela, i Sara nie miała gdzie się skryć, chyba że ponton został wessany przez lej wirującej wody. Pete odrzucił tę

możliwość - musiała tu przedtem bywać i znać niebezpieczne miejsca.

Założył drugą możliwość, bodaj jedyną prawdopodobną.

Odpłynął dalej od brzegu, omijając wodospad szerokim łukiem, później zawrócił. Od tej strony woda nie wyglądała groźnie. Między wodospadem i ścianą urwiska widniał spokojny przesmyk, jakby korytarz.

Pete wpłynął do niego. W miejscu, gdzie ściana stykała się z morzem, wkrótce wypatrzył czarną szparę, wznoszącą się nie więcej niż pół metra nad lustrem wody. Tylko tam mógł skryć się ponton i tylko pod warunkiem, że Sara leżała w nim płasko, by nie zawadzić głową o postrzępione krawędzie szczeliny.

Pete zanurkował. Wynurzył się w mrocznym tunelu wiodącym w głąb skalnej ściany. Zaczął płynąć przed siebie, czubkiem głowy prawie dotykając kamiennego sufitu.

Po pewnym czasie tunel powiększył się; nad wodą był stopień z przycumowanym do niego pontonem, a dalej owalny otwór - wejście do jaskini. Pete wyszedł z wody. Do kąpielówek miał przypięty wodoszczelny futerał z telefonem komórkowym. Wyjął go i połączył się z Bobem.

- Odkryłem grotę pod wodospadem - zameldował ściszym głosem. - Ponton musiał tam wpłynąć. Wchodzę do środka.

Stąpając bezszelestnie, zagłębił się w podziemny korytarz, który z każdym krokiem robił się większy. Po kilku minutach wędrówki Pete mógł się już wyprostować. Ciemności nie były kompletne, skądś musiało docierać tu trochę światła.

Zaczął ostrożnie posuwać się w tamtym kierunku. Wkrótce dotarł do obszernej jaskini z nawisem stalaktytów. W wysokim sklepieniu znajdowała się szczelina, przez którą wpadało światło. Rozejrzał się: nikogo wokół. Po przeciwnej stronie jaskini zobaczył łuk przejścia, tak regularny, że musiał być dziełem ludzkich rąk. Ruszył w tamtą stronę i znów znalazł się w tunelu, coraz mroczniejszym i pachnącym pleśnią.

Nie pamiętał, jak długo szedł, gdy dobiegły go jakieś hałasy, szelesty. Nagle potknął się o coś niewidzialnego. Poczul, że coś na niego spada, oplątuje. Próbował się uwolnić, ale bez skutku. Sieć zaciskała się, uniemożliwiając ruchy.

- Sara! - krzyknął, zapominając o ostrożności. - Na pomoc!

Odpowiedziało mu echo.

Jupe kupił w kiosku "Los Angeles Sun" i wsiadł do autobusu. Zająwszy miejsce

przy oknie, zabrał się do lektury artykułu na pierwszej stronie gazety.

Była to relacja z pogrzebu Deana Griega, byłego senatora, działacza społecznego i prezesa kilku fundacji dobroczynnych, który zmarł na atak serca. W kondukcje szły znane osobistości, rodzina, przyjaciele oraz setki sympatyków zmarłego,

Kiedy znaleźli się na cmentarzu, orkiestra odegrała marsz żałobny i pastor Donald Harte zaczął wygłaszać pożegnalną mowę, nastąpiło coś niepojętego.

*Najpierw wszyscy obecni jakby skamienieli - relacjonował reporter. - Potem ich twarze zaczęły się zmieniać, przybierając wyraz radosnego zachwytu. Leciwy pastor Harte zaniemówił przed mikrofonem. Orkiestra nagle zaczęła grać jazz. Pastor, nieporadnie stepując, zaśpiewał do mikrofonu absurdalna piosenkę:*

*Koniec mowy*

*Pogrzeb z głowy*

*Leć do taty*

*Hen w zaświaty*

*A my w tango, a my w tany*

*Nieboszczyku nasz kochany!*

*Tralala - tralala - bum cyk cyk!*

*Żałobnicy z idiotycznymi uśmiechami hopsali nad otwartym grobem, ściskając się wzajemnie i wesolo pokrzykując. Tańczyła również sędziwa wdowa po senatorze oraz jej dwie córki i trzech synów.*

*Ściągnięto wzmocnione siły policyjne. Karetki pogotowia przewiozły uczestników pogrzebu do okolicznych szpitali. Niestety, nie udało się z nikim przeprowadzić wywiadu, ponieważ stan euforii nie ustępował.*

*Żałobników umieszczono na zamkniętych oddziałach psychiatrycznych, pilnowanych przez wojskowe strażę. Dostęp do nich na razie nie jest możliwy.*

Jupe przeczytał dwukrotnie artykuł, potem przyjrzał się zdjęciom ilustrującym tekst. Pierwsze przedstawiało dostojnie kroczący kondukt. Na drugim obiektyw zarejestrował rozbawionych ludzi, płaszających wokół otwartej mogiły, oraz stepującego pastora.

Uwagę Jupe'a przykuła druga fotografia, a ściślej, jej dalszy plan. Niestety, był niewyraźny.

Kiedy autobus zatrzymał się w centrum miasta, Jupe wciąż wpatrywał się w

zdjęcie, skubiąc w zadumie dolną wargę. Coś go niepokoiło w tej fotografii. Tego czegoś nie umiał bliżej określić.

## ROZDZIAŁ 6

### LABORATORIUM ALCHEMIKA

Pete nie próbował walczyć. Był bez szans. Sieć opisywała go szczerze, czyjeś ręce mocno trzymały z tyłu, popychając, by szedł. Mógł stawiać tylko małe kroczki. Po kilku minutach marszu w kompletnej ciszy wokół znów pojaśniało. Jasność przedostawała się przez małe drzwiczki w skale.

Został wepchnięty przez nie i znalazł się w obszernej sali oświetlonej lampami halogenowymi. Zobaczył regały z jakimiś aparatami, stół zastawiony rzędami menzurek i kolb, w których bulgotały kolorowe ciecze. Pośrodku sali stało ogromne czarne biurko zawalone papierami i fotel z wysokim oparciem, na którym nikt nie siedział.

Sieć ściągnięto, ręce puściły. Pete odwrócił się szybko, ale nikogo nie zobaczył. Stwierdził, że zabrano mu futerał z telefonem komórkowym. Był sam w tym dziwnym laboratorium. Aparatura brzęczała, przez ekrany trzech monitorów biegły zygzaki, krzyżowały się figury geometryczne, pojawiały się i znikwały kolumny cyfr.

- Czy jest tu ktoś? - zawołał Pete. - Chcę porozmawiać!

Nie doczekał się odpowiedzi. Było mu chłodno w samych kąpielówkach, czuł, że cały jest mokry: od morskiej kąpieli, czy ze strachu spocił się jak mysz?

- Odezwijcie się! - krzyknął, odczekawszy kilka długich chwil.

Usłyszał zgrzyt. Jeden z regałów powoli obrócił się i na salę wjechał mężczyzna na wózku inwalidzkim. Miał młodą twarz, ale włosy naznaczone pasmami siwizny. Ta twarz wydała się Pete'owi znajoma, chyba gdzieś już widział tego człowieka, tylko gdzie?

- Jak tu trafiłeś? - usłyszał spokojny, prawie sympatyczny głos.

Pete miał już gotową odpowiedź:

- Było gorąco, poszedłem się wykapać. Podpłynąłem do wodospadu i zobaczyłem grotę. Zaciekawilo mnie, co jest w środku.

Mężczyzna poprawił sobie kraciasty pled okrywający kolana.

- Tylko tyle? - zapytał. - Całkowity przypadek?

- Kompletny - przytaknął Pete. - Mam nadzieję, że nie zrobiłem nic złego. Jeśli pan pozwoli, zaraz się stąd wyniosę.

- Nie lubię kłamstw - powiedział mężczyzna. - Nawet nie pytasz, gdzie jesteś, co się tu dzieje. Każdy byłby ciekaw.

- Jestem ciekaw, ale nie śmiem o nic pytać - Pete uśmiechnął się przeprasząc. - Nie chcę być natrętny.

- Co za szlachetna subtelność. - Tym razem w głosie mężczyzny zabrzmiała ironia. - Czy to nie nadmiar taktu? Będzie lepiej, jeśli powiesz prawdę.

- Mogę dać panu słowo honoru... - zaczął Pete i nie dokończył.

- Pozwól, Noe, że ci przedstawię Pete'a Crenshawa, który uciekł wczoraj z naszego rancza, kradnąc mi samochód - rozległ się z tyłu głos Sary. - Profesja: szpieg. I mam wrażenie, że gorzko tego pożałuje.

Bili Norton przyjął Jupe'a natychmiast, choć miał u siebie gościa i obaj wyglądali na bardzo zajętych. Gość był wysoki, o sprężystej sylwetce sportowca, ubrany w piaskowy, świetnie skrojony garnitur. Miał oliwkową cerę i krótko przystrzyżony wąsik.

- Jack Sanders - przedstawił się, miażdżąc Jupe'owi dłoń w męskim uścisku.

- Pan Sanders chciał cię poznać - powiedział prokurator okręgowy. - On też interesuje się Mesjaszem. To jest...

- Major w służbie czynnej - wyręczył go Sanders. - Zajmuję się sektami religijnymi.

Jupe nie zdołał ukryć zdziwienia, więc major Sanders pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Członkowie niektórych sekt unikają służby wojskowej. Mamy też w armii wyznawców różnych pseudoreligii, odmawiających kontaktu z bronią.

- Mesjasz nie głosi żadnej wiary - powiedział Jupe, zajmując krzesło wskazane przez Nortona.

- Wiemy o tym - przytaknął Sanders. - Ale zapowiadanie powszechnej szczęśliwości to także religia, w pewnym sensie. Chyba że wiadomo, jaką techniką będzie się osiągać tę szczęśliwość.

- Techniką? - Jupe uniósł brwi.

- Bierzemy pod uwagę taką możliwość - rzucił krótko Sanders.

- Czy Mesjasz demonstruje uszczęśliwianie? - zapytał Bili Norton. - Może robi jakieś sztuczki? Na przykład rozpyła jakiś środek?

- Już panu mówiłem, że nie robi nic takiego - przypomniał Jupe. - Po prostu mówi do ludzi. Bardzo żarliwie. Ma duży dar przekonywania. Słuchacze pod jego wpływem zaczynają wierzyć, że to możliwe.

Sanders i Norton wymienili spojrzenia.

- Podejrzewamy, że nie chodzi tu jedynie o siłę sugestii - powiedział major Sanders. - Miałeś kontakt z Mesjaszem. Czy ciebie przekonał? Może doznałeś szczególnych wrażeń, przeżyłeś coś niezwykłego?

- Poniekąd - odparł Jupe wymijająco. - Ale nie na tyle, żeby stać się wyznawcą.

Sanders zbliżył się do Jupe'a i zajrzał mu w oczy. Miał przenikliwe, świdrujące spojrzenie.

- Na pewno słyszałeś o wydarzeniach na cmentarzu, podczas pogrzebu senatora Griega - powiedział, nie przestając patrzeć Jupe'owi w oczy.

- A przedtem w Bloomingdale - dorzucił Jupe.

- Słusznie. - Sanders wciąż przewiercał Jupe'a badawczym wzrokiem. - Czy oba te przypadki mogą mieć związek z Mesjaszem?

- Nie wiem - odparł Jupe.

- Postaraj się dowiedzieć - powiedział Sanders. - To ważne. Informuj o wszystkim prokuratora Nortona.

Znowu zgniótł dłoń Jupe'a w mocarnym uścisku i sprężystym krokiem opuścił gabinet. Norton odczekał, aż ucichnie odgłos kroków.

- A teraz opowiadaj - odezwał się półgłosem. - Chyba wiesz coś o zaginionych młodych ludziach.

- Dlaczego pan tak sądzi? - zapytał ostrożnie Jupe.

- Nie mam racji? - odpowiedział pytaniem na pytanie prokurator. Poczekał na reakcję Jupe'a. - Nie powinieneś niczego przede mną ukrywać - dodał po pauzie.

- Już pan wie, że dzwoniłem do matki Mary Blacksmith - stwierdził Jupe.

- Wiem.

- Potrzeba nam jeszcze trochę czasu - powiedział Jupiter. - Ustaliliśmy, gdzie przebywają zaginieni. Są tam dobrowolnie. Nie dzieje im się nic złego.

- Widziałeś ich?

Jupe potwierdził ruchem głowy.

- Badamy sprawę - powiedział. - Musimy być ostrożni, żeby wszystkiego nie popsuć. Niech nam pan da jeszcze dobrą.

Bili Norton wahał się przez dłuższą chwilę.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Domyślasz się, że jestem między młotem a kowadłem. Mesjaszem zaczęły się interesować wojskowe służby specjalne, ja nie widzę związku między nim i przypadkami zbiorowej ekstazy, ale oni niczego z góry nie



wykluczają.

- Mogą mieć rację - odezwał się półgłosem Jupe.

Chciał powiedzieć Nortonowi o ich zbiorowym przeżyciu podczas spotkania z Mesjaszem, lecz coś go powstrzymało.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał prokurator.

- Jeszcze nie potrafię wyjaśnić - odparł Jupe i pokazał Nortonowi świeży numer "Los Angeles Sun". - Chciałbym przyrzeć się z bliska oryginałom tych zdjęć. Może dałoby się powiększyć je i wyostrzyć?

Bili Norton wziął od Jupe'a gazetę i długo przyglądał się fotografiom.

- Nie będę cię pytać, o co chodzi - powiedział. - Pomówię z fotoreporterem redakcyjnym. Daję ci jedną dobę, tak jak prosiłeś. Tylko jedną.

Sara stanęła obok mężczyzny na wózku inwalidzkim i Pete pojął, dlaczego twarz Noego wydała mu się znajoma. Miał te same rysy co Sara. Zapewne byli blisko spokrewnieni.

- Kto was nasłał? - usłyszał suchy głos dziewczyny. - Dlaczego mnie śledziłeś?

- Nie nasłał nas nikt - odpowiedział Pete. - Słowo honoru.

- Złamaliście przysięgę złożoną Mesjaszowi - rzuciła Sara. - Będziecie surowo ukarani. Ty poniesiesz karę pierwszy.

Mężczyzna uciszył ją spojrzeniem.

- Chciałbym pomówić z Pete'em. Zostaw nas samych, Saro.

Usłuchała. Męskim krokiem, nie oglądając się, opuściła laboratorium. Noe podjechał do biurka i wprawnie przerzucił ciało z wózka na fotel. Potem przez długą chwilę przyglądał się Pete'owi, jakby go badał cał po calu.

- Pozwoliłbym ci odejść, ale nie mam prawa - powiedział półgłosem. - Zbyt ważne rzeczy tu się dzieją. Nie wolno nam ryzykować, kiedy jesteśmy już tak blisko.

- Blisko czego? - wyrwało się Pete'owi. - Kim pan jest?

- Powiedzmy, że jestem alchemikiem - uśmiechnął się leciuteńko mężczyzna.

- Robi pan złoto? - zapytał Pete, także z uśmiechem.

- Coś znacznie cenniejszego - odparł Noe. - Studiowałem chemię, fizykę i medycynę. Należy wierzyć Mesjaszowi, kiedy przyrzeka uszczęśliwić ludzi. Ale prawdziwego Mesjasza masz właśnie przed sobą. - Na chwilę jego indiańska twarz skamieniała w wyrazie dumy i stała się niedostępna jak oblicze posągu. Potem uśmiechnął się do Pete'a. - Nad czymś pracuję i jeszcze tego nie skończyłem. Gdybyś

stąd wyszedł, moja praca byłaby zagrożona.

- Mogę panu przyrzec...

Noe przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

- Skoro się tu znalazłeś, pomożesz mi. Potrzebuję paru ludzi dla dokończenia doświadczeń. Oddasz ludzkości niezapomnianą przysługę, Pete.

- Odmawiam! - rzucił Pete, czując gwałtownie narastający niepokój. - Nie będę królikiem doświadczalnymi Na ludziach nie wolno eksperymentować!

- I dlatego nauka idzie do przodu tak wolno - westchnął inwalida. - Ale ja nie zamierzam uszczęśliwiać królików, tylko ludzi. Uważaj.

Dotknął jakiegoś przedmiotu na blacie biurka i Pete jakby dostał obuchem w łeb. Tyle że nie bolało, lecz zamieszało w głowie, oszołomiło do cna: doznał raptem uczucia niewysłowionej radości. Chciał krzyknąć ze szczęścia. Było to idiotyczne, bo bez powodu, i Pete miał tego pełną świadomość, ale nic nie mógł poradzić na stan ekstazy, w jakim się pogrążył. Było mu cudownie. Chciał podbiec do Noego i rzucić mu się na szyję, lecz w tym momencie euforia opadła.

Znów był sobą.

Patrzył w osłupieniu na Noego, a ten uśmiechał się dobrotliwie.

- Tom! - zawołał. - Wyprowadź go.

Zza regałów wyłonił się dwumetrowy Murzyn o budowie atlety. Położył Pete'owi na ramieniu ciężkie łapsko. Opór nie miał sensu.

Bob siedział na tylnym siedzeniu mustanga, uśpiony rytmicznym pluskiem fal. Kiedy obudził się, stwierdził, że minęły prawie dwie godziny. Pete'a wciąż nie było i Bob zaczął się niepokoić. Przez telefon komórkowy kilka razy próbował się z nim połączyć, ale bez efektu: automat informował, że abonent znajduje się poza zasięgiem sieci.

Zadzwoił do Jupe'a i złożył mu meldunek z przebiegu wydarzeń.

- Jak daleko jesteś? - zapytał Jupe.

- Godzinę jazdy od Rocky Beach.

- Pete sobie poradzi. Zostaw mu wóz i wracaj okazją. Czekam w kwaterze.

Bob zaznaczył na mapie miejsce, gdzie rozstał się z Pete'em, i ruszył w drogę. Po kwadransie marszu dotarł do szosy. Powiodło mu się: dwaj wędkarze wracający do Los Angeles z połowu zabrali go ze sobą i wysadzili w Rocky Beach. Tyle że w trakcie jazdy musiał pokrzykiwać z podziwu, słuchając opowieści o taaakich rybach.

Murzyn wepchnął Pete'a do pomieszczenia sąsiadującego z laboratorium i zamknął na klucz obite blachą drzwi. Pod kamiennym nawisem sufitu paliła się mała żarówka. Pete zobaczył dwa żelazne łóżka przykryte kocami. Na jednym ktoś spał, skulony.

Pete zakasłał. Śpiący otworzył oczy, powoli usiadł, ziewnął. Patrzył na Pete'a obojętnym, niewidzącym wzrokiem. Był to wąty chłopak o ciemnych włosach przyciętych na jeża i wysuniętej szczęce.

- Cześć - powiedział Pete. - Przepraszam, że cię obudziłem. - Chłopak nie zareagował, wyglądał na nieprzytomnego. - Jak się tu znalazłeś?

- Co?

- Jak się tu znalazłeś? - powtórzył Pete.

- Walter jestem... - wymamrotał chłopak i nagle rozplakał się, łzy popłynęły po zapadniętych policzkach, utknęły w kącikach ust wygiętych w podkówkę.

Pete usiadł przy nim na łóżku, chwycił go za ramiona.

- Weź się w garść, Walter - powiedział łagodnie. - Wszystko będzie dobrze.

- Chcę być tam - Walter pokazał na ścianę, za którą znajdowało się laboratorium. - Tutaj nie chce mi się żyć. Dlaczego po mnie nie przychodzą?

Nadal płakał, przelękając łzy i pociągając nosom. Walter? Pete przypomniał sobie relację Jupe'a z rozmowy z Mary Blacksmith. Chłopiec, który próbował uciec z farmy i nazajutrz zmarł na atak serca, chyba miał na imię Walter.

- Byłeś na ranchu Mesjasza? - spytał.

Chłopiec skinął głową. Przestał płakać. Odwrócił się do Pete'a plecami, zwinął w kłębek i natychmiast zasnął. Pete pochylił głowę, ścisnął pięściami skronie. Co zrobią Jupe i Bob? Jeśli będą go tutaj szukać, wpadną w pułapkę. A on raczej nie wydobędzie się stąd bez ich pomocy. Coś trzeba zrobić. Tylko co?

Usłyszał jakieś stłumione głosy. Dobiegały zza drzwi. Szybko wstał, przycisnął ucho do zimnej blachy.

- ...pojutrze jest wielki mecz... - Pete rozpoznał głos Sary - ...będą tysiące ludzi...

- Nie zdążę - męski głos należał do Noego - ...dokończyć eksperymentu. Muszę wyeliminować uboczne...

- Gwiżdżę na to! - głos Sary zabrzmiał ostro. - Dziesięć stymulatorów!

- Oszalałaś. To by się skończyło...

- Tym lepiej, Noe.

- Wykluczone. Nie możemy...
- Ja mogę.
- ...wypełnić misję...
- Do diabła z misją! Nie próbuj...

Głosy przycichły. Pete wyprostował się, potrząsnął głową. Miał szeroko otwarte oczy: rozproszone myśli zaczęły się układać w przerażający ciąg.

W hallu biurowca należącego do "Los Angeles Sun" panował rwetes, wbiegali i wybiegali redaktorzy, dzwoniły telefony. Portier musiał być uprzedzony przez Nortona, kazał Jupe'owi i Bobowi usiąść. Zasiedli w fotelach przy okrągłym stoliku, a portier połączył się z kimś za pomocą interkomu.

- Fred? Już są. Dobrze, zaczekają.

Po dziesięciu minutach zjechał do nich windą mężczyzna o rozwichrzonej czuprynie i rozbieganych oczach. Trzymał pod pachą wypchaną tekturową teczkę.

- Od prokuratora okręgowego? Tu są wszystkie zdjęcia z pogrzebu.

- Był pan tam? - zapytał Jupe. - I nic się z panem nie stało?

- Nic zupełnie - odparł fotoreporter. - Widocznie jestem odporny na wariactwo. Dwoje żałobników dziś rano odebrało sobie życie. Przeczytacie o tym w jutrzejszym numerze "Los Angeles Sun".

- Z którego miejsca pan fotografował? - zapytał Jupe.

- Od bramy. Chciałem mieć w kadrze całość.

-Więc był pan od nich dość daleko.

- Ze sto metrów - powiedział fotoreporter. - Co to ma do rzeczy?

Jupe nie odpowiedział. Wraz z Bobem zaczął oglądać po kolei fotografie rozłożone na stoliku. Znalazł zdjęcie, które było w gazecie. Tu również dalszy plan był trochę zamazany, lecz czytelniejszy niż na odbitce gazetowej.

Jupiter wskazał Bobowi na dwie postacie stojące z dala od żałobników, obok nagrobka w kształcie obelisku.

- Kogo ci przypominają? - zapytał półgłosem.

- Nie jestem pewien - mruknął Bob po pauzie.

- Czy dałoby się wyostrzyć ten fragment? - zwrócił się Jupe do reportera. - To może być bardzo ważne.

- Jak bardzo? - zapytał mężczyzna, uśmiechając się żartobliwie.

- Być może wyjaśni przyczynę wydarzeń na cmentarzu - powiedział Jupe.

Fotoreporter przestał się uśmiechać. Patrzył na Jupe'a, mrużąc oczy.

- Mógłbym spróbować - odezwał się po pauzie. - Ale pod jednym warunkiem.

- Co to za warunek? - zapytał Bob.

- Gwarancja pierwszeństwa. Jeśli hit, to mój. Bob pomyślał o ojcu pracującym w tej samej redakcji. Wolałby zobaczyć pod sensacyjnym artykułem nazwisko Andrews, ale nie było sensu targować się z fotoreporterem.

- Zgoda - rzucił.

Mężczyzna zawiózł ich na ostatnie piętro wieżowca i wprowadził do foto laboratorium, które mieściło się w dużej hali wypełnionej komputerami, skanerami oraz mnóstwem urządzeń o nieznanym przeznaczeniu. Weszli do przeszklonego boksu. Reporter znalazł kliszę, umieścił ją w aparacie przypominającym projektor.

Na ekranie monitora pojawił się obraz tańczących żałobników o twarzach tryskających radością.

- O ten fragment wam chodzi? - reporter wskazał na tło z obeliskiem.

Jupe skinął głową. Mężczyzna zaczął czarować przy klawiaturze, obracać jakimiś pokrętłami. Panorama pogrzebu rozrosła się i odpłynęła z ekranu, obelisk przybliżył się, nabrał wyrazistości. Dwie postacie, częściowo ukryte za nim, stawały się coraz czytelniejsze.

Były to dziewczyny. Obie trzymały coś w rękach. To coś kierowały w stronę żałobników.

- Moglibyśmy zobaczyć dokładniej ich twarze? - poprosił Jupiter.

- Ciężka sprawa. Spróbuję.

Obelisk wypełnił ekran. Zniknął jego czubek i podstawa. Głowy dziewczyn zbliżyły się, powędrowały na środek monitora i nabrały nieco ostrości.

- To wszystko, co da się zrobić - powiedział reporter.

- Wystarczy - wykrztusił Bob przez zduszone gardło.

Jupe zacisnął usta.

Z ekranu patrzyły na niego Sara i Lea.

## ROZDZIAŁ 7

### DZIESIĘĆ MILIONÓW DOLARÓW

Zgrzytnął zamek. Drzwi w skalnej ścianie otworzyły się i w progu stanął ogromny Murzyn. Palcem wskazał na Pete'a.

- Idziemy. Profesor chce cię zobaczyć.

- Dlaczego nie mnie? - zapiszczał płacziwie Walter. - Ja pójdę pierwszy! Proszę...

Murzyn zignorował jego błaganie. W uchu nosił kolczyk, pod trykotową koszulką rysowały się kłęby mięśni. Ruchem ręki ponaglił Pete'a.

Noe obserwował na monitorach kolumny cyfr i pulsujące zygaki, operując rzędem dźwigienek. Od czasu do czasu coś zapisywał w brulionie. Pete czekał. W końcu wózek inwalidzki wykonał obrót, przetoczył się przez laboratorium i stanął naprzeciw Pete'a.

- Przemyślałeś moją propozycję? - zapytał Noe. - Liczę, że zechcesz dobrowolnie wziąć udział w eksperymentach. Tak byłoby lepiej.

Pete zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Ciemnoskóry atleta nadal stał za jego plecami.

- Niech pan się nie zgrywa - rzucił ponuro. - Sara zapowiedziała, że gorzko pożałuję. I chyba o to chodzi.

- Moja siostra nie ma z tym nic wspólnego - powiedział mężczyzna nazwany przez Murzyna profesorem. - Nie przejmuj się jej pogrozkami. Wszystko mi jedno, jak tutaj trafiłeś. Pracuję nad wynalazkiem, który odmieni losy ludzkości, jestem już blisko pełnego sukcesu. Szczęśliwy przypadek zetknął mnie z Mesjaszem. On mi zaufał i przygotowuje wykonawców. Obaj dokonamy rzeczy wielkiej, uwalniając ludzi od zła. Wszyscy będą szczęśliwi, zadowoleni z życia i wzajemnie sobie życzliwi. Czy to nie piękna idea?

Ciemne oczy Noego rozjarzyły się wewnętrznym światłem. Patrzył gdzieś ponad głową Pete'a.

Pete patrzył w ziemię.

- Zdaje się, że zaczynam rozumieć - powiedział cicho. - To pana wynalazek wywołał zbiorową ekstazę w domu towarowym Bloomingdale.

- Nie mylisz się - potwierdził uczone.

- A potem depresję. Kilka osób popełniło samobójstwo.

Noe jakby oprzytomniał. Otworzył szeroko oczy.

- O tym nie wiedziałem - powiedział. - Widocznie Sara chciała mi oszczędzić bólu. Mesjasz też się tu nie pojawia od dłuższego czasu. Musiało to nim wstrząsnąć, tak samo jak mną teraz. Uprzedzałem siostrę, że jestem przeciwny zbiorowemu eksperymentowi, jeszcze nie dopracowałem wszystkiego. Jak ona mogła...

Urwał. Był roztrzęsiony.

- Pan zabija ludzi - powiedział Pete.

- Nie! - wykrzyknął Noe, zasłaniając twarz.

- Pański Mesjasz nakłania młodzież do ucieczek z domu - ciągnął Pete. - Więzi ich na farmie w górach.

- Więzi? - Noe był coraz bardziej zdumiony. - Miało być inaczej...

- Ale jest właśnie tak - rzucił sucho Pete. - Byliśmy na tym ranczu. Zamknięta brama, wysoki mur, druty kolczaste pod prądem. Dlatego śledziliśmy Sarę. Władze jeszcze nie kojarzą zabójczej ekstazy z Mesjaszem, wpadną jednak na to.

- Wiedziałem, że stymulator nie jest jeszcze dopracowany - odezwał się Noe jakby do siebie. - Uprzedzałem siostrę, prosiłem... Szukam tylko jednej odpowiedzi. Kiedy ją znajdę, wszystko będzie w porządku. Na pewno znajdę! - Jego głos na moment zabrzmiał z mocą i znów przygasł. - W instytucie uważano mnie za szaleńca. Twierdzono, że tego nie można rozwiązać. Ja uważam inaczej... Ale nie pozwoliłem im eksperymentować, zrobili to bez mojej wiedzy. Potem usłyszałem od Sary, że eksperyment się udał. Ani słowa o samobójstwach... - urwał. Znowu patrzył gdzieś ponad głową Pete'a. - Ale ty i Walter pomożecie mi. Widzisz? Przeżyłeś euforię i nie masz depresji. Trzeba dokładnie obliczyć natężenie i czas...

- Walter ma głęboką depresję - przerwał mu Pete. - Zachowuje się jak narkoman na głodzie. W tym stanie mógłby się zabić.

- Nie dopuszczę do tego - powiedział Noe. - Znajdę odpowiedź, jestem już blisko, bardzo blisko, a wy mi pomożecie...

- Ja odmawiam - rzucił twardo Pete.

Oczy Noego zwężyły się, nabrały posępnego blasku.

- Nie możesz - powiedział. - Teraz już się nie cofnę.

Spod pledu okrywającego mu nogi wyjął niewielki metalowy przedmiot wyglądający jak rewolwer i wycelował w Pete'a.

Pete chciał się odruchowo zasłonić, ale nie zdążył. Zresztą i tak nic by to zapewne nie dało.

Poczuł nagły przyływ uszcześliwienia. Miał wrażenie, że cudowna siła unosi go w powietrze. Już o niczym nie myślał. Oczy napęłniły się łzami radości.

Potem stracił przytomność.

W sztabowej przyczepie na składowisku staroci panował nastrój rozgorączkowania. Bob trudził się przy komputerze. Jupe, by zapanować nad nerwami, łądował, co popadło, do plastikowego pojemnika: sałatę pekińską, plastry dyni, kalafior, kawałki szynki i boczku. Wbił aż pięć jajek. Obsypał tartą bułką. Wstawił pojemnik do mikrofalówki, a gdy brzęczyk dał znać, że zapiekanka SADKO jest już gotowa, po prostu zapomniał o niej.

Nasłuchiwał warkotu silnika.

Ale Pete nie wracał.

Jego telefon komórkowy nie odpowiadał, operatorka miłym głosem informowała, że abonent jest poza zasięgiem sieci.

- Mam! - mruknął Bob. - Dobrze i to na początek.

W bazie danych dotyczących osób, które mają w Santa Clara prawa jazdy, znalazła się cała rodzina Rogersów. Żeby się włamać do archiwum z personaliami, Bobowi potrzebne było hasło. Hakerzy mają na to sposób, każdy swój własny i każdy skomplikowany, zmuszający komputer do poszukiwań w słownikach, leksykonach, encyklopediach. Nie zawsze udaje się dopasować hasło do skrytki z zastrzeżonymi informacjami. Bobowi w końcu się udało.

- Brat Sary jest pracownikiem naukowym w Wojskowym Instytucie Biofizyki - poinformował Jupe'a. - Szukać dalej?

- To może być ciekawe - powiedział Jupe bez przekonania, ponieważ był myślami przy czerwonym mustangu, który wciąż nie nadjeżdżał.

Bob znowu wziął się do roboty, choć i on nie przestawał nasłuchiwać. Czekał, aż Jupe przestanie skubać dolną wargę i coś postanowi. Nieobecność Pete'a przeciągała się ponad miarę. A jeśli potrzebuje ich pomocy? Jeśli ważna jest każda minuta? Penetrowanie jaskini nie może trwać tak długo. Pete zadzwoniłby do nich. Musi z nim być niedobrze. W takiej sytuacji niepisana zasada Trzech Detektywów to być razem, na dobre i złe.

Przeczesywanie internetu dało wreszcie rezultat. Na stronie z napisem "Wojskowy Instytut Biofizyki i Chemii, Longdale, Nevada" nie było jednak żadnych szczegółowych informacji. Widniał tylko symbol operatora. Bob połączył się z nim.



“Jeżeli jesteś osobą upoważnioną, podaj swój kod” - odezwał się operator.

W tym przypadku znalezienie kodu należało do zadań szczególnie trudnych i wymagających wielu godzin kombinowania. Bob nie miał na to czasu. Postanowił spróbować inaczej.

“Jestem Bob Andrews - odpowiedział. - Mam osobistą, bardzo gorącą prośbę. Pomóż. Wasz pracownik uratował mi życie. Narazając własne, wyciągnął mnie z płonącego domu. Nie zdążyłem mu nawet podziękować. Nazywa się Noe Rogers”.

“Nie udzielamy informacji osobom bez upoważnienia”.

“Nie proszę o informację - nadał Bob. - Tylko o zwykłą ludzką przysługę. Ty byś nie podziękował człowiekowi, który cię ocalił? Przekaż Rogersowi moje nazwisko i numer telefonu. Powtórz, że błagam go o kontakt. Niech sam zdecyduje”.

Ekran pulsował dość długo, sygnalizując wahanie operatora. To dawało nadzieję. W końcu na monitorze pojawiła się odpowiedź:

“Noe Rogers już nie pracuje u nas”.

Bob odchylił się na krzeselku i przymknął oczy. Cały trud na nic.

- Może warto skontaktować się z rodzicami Sary w Santa Clara? - powiedział do Jupe'a. - Ostrzec, że jeśli nam nie pomogą, pójdziemy na policję?

- Myślałem o tym. Zaczekamy jeszcze trochę. Gdyby Pete nie wrócił, zadzwonię do nich.

Nagle ożył ekran monitora. Odezwał się operator Instytutu w Longdale:

“Jesteś kłamcą, Andrews. Kaleka nie mógł wyciągnąć cię z ognia”.

Samochód przysłany przez Billa Nortona nie zawiózł Jupe'a do biura prokuratora okręgowego, tylko do rezydencji burmistrza Los Angeles. Zaprowadzono go prosto do gabinetu. Był ogromny, wyłożony puchatym kremowym dywanem. Nad hebanowym rzeźbionym biurkiem wisiał portret prezydenta USA.

Burmistrz, energiczny mężczyzna o rzadkich siwych włosach i sympatycznej twarzy porytej zmarszczkami, podał Jupiterowi rękę. Oprócz niego w gabinecie znajdowali się Bili Norton i Jack Sanders, tym razem w wojskowym mundurze z dystynkcjami majora.

- Będziesz musiał powiedzieć nam wszystko, co wiesz o Mesjaszu i jego ludziach - odezwał się Norton. - Sytuacja uległa zmianie.

Burmistrz spojrział na zegar ścienny.

- Zaczekajmy na telefon - powiedział. - Powinni zadzwonić za minutę.

Równo po minucie odezwał się melodyjny brzęczyk telefonu. Burmistrz podniósł słuchawkę i włączył nagłośnienie, aby rozmowę słyszeli wszyscy.

- Minał czas do namysłu - odezwał się mechanicznie zniekształcony kobiecy głos. - Dziesięć milionów dolarów albo nastąpi tragedia.

- Skąd mogę mieć pewność, że nie blefujecie? - zapytał spokojnie burmistrz.

- Pamięta pan wydarzenia w Bloomingdale i na cmentarzu? - zapytał głos. - Za kilka minut otrzymacie wiadomość o podobnym zdarzeniu w autobusie miejskim. Właśnie się to stało. Na przystanku przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Ze względów humanitarnych nie zrobiliśmy tego, gdy autobus był w ruchu, bo musiałoby dojść do wypadku. Proszę to docenić.

- Doceniam - powiedział burmistrz. - Muszę omówić sprawę z radą miejską. Dziesięć milionów to poważna suma. Potrzebuję więcej czasu.

- Ma pan czas do jutra rana. Zadzwonimy o ósmej, jeśli nie przyjmiecie naszych warunków, o ósmej dziesięć nastąpi to w metrze. Kolejny telefon o dziesiątej rano. Suma wzrośnie do dwudziestu milionów.

Rozmowa została przerwana. W chwilę później znów odezwał się dzwonek. Burmistrz wysłuchał meldunku.

- Wezwijcie wojsko - powiedział. - Pasażerów i kierowcę autobusu przewiozą do szpitala na terenie bazy. Będę u was za pół godziny.

Jego sylwetka utraciła sprężystość. Zgarbił się, ciężko opadł na fotel.

- Jeśli raz zapłacimy, będą żądać kolejnych sum - odezwał się jakby do siebie, zgaszonym głosem. - Nie ma pewności, że to ten Mesjasz.

- Myślę, że już jest, panie burmistrzu - odezwał się Jupe.

Trzej mężczyźni wpatrzyli się w niego z napięciem.

Jupiter wyjął z kieszeni dwie fotografie i położył je obok siebie na biurku burmistrza. Pierwsza była zrobiona na tarasie kawiarni obok wesołego miasteczka: Lea i Heidi uśmiechały się, Sara miała nachmurzoną minę. Druga przedstawiała uroczystości pogrzebowe na cmentarzu i dziwacznie rozbawionych żałobników.

Jupe wskazał na drugi plan z nagrobkowym obeliskiem i dwiema niewyraźnymi sylwetkami.

- Co sugerujesz? - zapytał prokurator Norton. - Nie można rozpoznać, kto tam stoi.

- Bardzo trudno - zgodził się Jupe i wydobyl z kieszeni trzecią fotografię z wyostrzonym powiększeniem obelisku. Zdjęcie powędrowało z rąk do rąk.

- Co te dziewczęta trzymają? - zapytał burmistrz. - Celują z rewolwerów?

- To chyba nie jest zwykła broń - powiedział major Sanders.

Jupe podał mu fotografię wykonaną w kawiarni.

- Proszę porównać twarze - powiedział. Burmistrz zajrzał Sandersowi przez ramię.

- To są te dziewczyny! - wykrzyknął, wskazując na Sarę i Leę.

- Na pewno te same - potwierdził Norton, przyjrzawszy się obu zdjęciom. - Dlaczego zwlekałeś? Powinienem być dowiedzieć się o tym natychmiast.

- Gdzie one są? - rzucił krótko Sanders. - Adresy!

Trzymał już w ręku telefon komórkowy. Jupe zmieszał się trochę pod surowymi spojrzeniami Nortona i Sandersa.

- Nie chcieliśmy zawalić sprawy - wyjaśnił, ciut się jękając. - Próbujemy dojść, jak wywołują zbiorową ekstazę. To klucz. Jeśli zatrzymacie te dziewczyny, a nawet samego Mesjasza, inni mogą kontynuować. Jest wśród nich sporo fanatyków.

- Młody człowiek ma rację - powiedział burmistrz.

- Myślę, że kieruje tym wszystkim ktoś trzeci, do kogo nie ma dostępu sam Mesjasz. Łączniczką jest ona - Jupe wskazał na Sarę, wyraźnie widoczną na kawiarnianym zdjęciu. - Być może tym trzecim jest jej brat, naukowiec, profesor Noe Rogers. Ustaliliśmy, że pracował w Wojskowym Instytucie Biofizyki w Longdale, ale już nie pracuje.

Major Sanders zapisał coś na karteczce, przeprosił i wyszedł z gabinetu.

- Baza Mesjasza znajduje się na opuszczonym górskim ranczu niedaleko od Bluepoint - ciągnął Jupiter. - Są tam zapewne wszyscy zaginieni w ostatnich czasach. Ale na farmie nie dzieje się nic szczególnego. Centrala musi być gdzie indziej. Podejrzewam, że właśnie teraz znajduje się tam nasz wspólnik, jeden z Trzech Detektywów, Pete Crenshaw. Śledził ją - Jupe wskazał na Sarę i zwrócił się do burmistrza: - To ona do pana telefonowała. Głos był sztucznie zmieniony, ale ją chyba rozpoznałem.

Do gabinetu wrócił major Sanders.

- Sprawdziliśmy Rogersa - powiedział. - Podobno genialny naukowiec, lecz niezrównoważony psychicznie. Zwolniono go z Instytutu jeszcze przed wypadkiem samochodowym, po którym utracił władzę w nogach. Nie wiadomo, gdzie obecnie przebywa. Moi ludzie próbują to ustalić.

- Sądzę, że wiem, gdzie teraz jest - powiedział Jupe.

Pete przebudził się ze snu. Stan uniesienia przeminął równie nagle, jak się pojawił. Stwierdził, że leży na kozetce i ma na głowie rodzaj kasku, połączonego kablami z szeregiem różnych urządzeń. Noe na wózku przemieszczał się od aparatu do aparatu, od monitora do monitora i coś pośpiesznie wpisywał do laptopa, podręcznego komputera, leżącego na jego kolanach.

- Jak się czujesz? - zapytał, gdy spostrzegł, że Pete otworzył oczy.

Pete nie czuł się najlepiej. Walilo mu w skroniach, oddech miał płytki i świszczący. Ogarniało go coraz większe przygnębienie, poczucie tępej beznadziei. Pomyślał, że Jupe i Bob już go nie odnajdą, skoro dotąd się nie pojawili. Pewnie zapomnieli o nim. Tak jak wszyscy inni. Pete Crenshaw nikogo nie obchodzi, nawet samego siebie. W ogóle nie warto żyć, nic nie ma sensu. Człowiek się rodzi, żeby umrzeć. Świat jest obcy. Jedno wielkie zawracanie głowy.

- Jak się czujesz, Pete? - powtórzył kaleka.

- Tak jak wszyscy - odmruknął Pete. - Dajcie mi święty spokój.

- Spróbuj wstać.

Pete zauważył, że ma na sobie długą lnianą koszulę, taką samą jak Walter i jak wszyscy mieszkańcy rancza. W takiej koszuli można złożyć człowieka do trumny. Przypomina całun.

- Wstań.

- Po co?

- Wstawaj! - rzucił ostro Noe.

W normalnych warunkach Pete na taki ton zareagowałby gniewem. Teraz tylko stęknął i ospale dźwignął się z kozetki. Gdyby go w tej chwili ktoś zaatakował, nawet nie próbowałby się bronić. Miał wszystko gdzieś. Stwierdził, że odpowiada mu ostry ton Noego: niech za niego decyduje, niech dyktuje, co trzeba robić. Ma wstać? No to stoi. Co teraz?

Noe podjechał do niego, w ręku trzymał długą chirurgiczną igłę. Ukłuł nią Pete'a w policzek. Pete stwierdził, że został ukłuty, poczuł nawet ból, lecz nie wywarło to na nim wrażenia.

- Bolało? - zapytał Noe.

- Chyba tak - odpowiedział obojętnie Pete.

Nagle zdał sobie sprawę, że zaczyna się bać. Nie był to strach przed czymś konkretnym, tylko po prostu lęk, z każdą sekundą silniejszy, przechodzący w

niezrozumiałą panikę, w przerażenie. Gdyby miał dość sił, schowałby się pod biurkiem. Chciał krzyczeć, lecz i na to sił mu brakowało. Patrzył przed siebie, bez tchu, wytrzeszczonymi oczami.

Noe wcisnął mu w dłoń tabletkę.

- Połknij - rozkazał.

Pete posłusznie połknął i zamknął oczy.

Nie pamiętał, jak długo były zamknięte. Przeważenie zaczęło z wolna ustępować. Poczł się lepiej, znikły czarne myśli.

- Juź dobrze? - usłyszał. - Serotonina postawi cię na nogi. Usiądź w fotelu i odpocznij.

Pete wykonał polecenie i znowu zamknął oczy. Kiedy je otworzył, czuł się normalnie. Przed sobą zobaczył Noego siedzącego za biurkiem.

Uczony kiwał głową w zamyśleniu. Widać było, że nie jest zadowolony z siebie.

- Z sejfu zniknęły stymulatory... - wymamrotał, nie zdając sobie sprawy, że słucha go Pete. - Co ona wyprawia? Mówilem, że na razie nie wolno... - Podniósł głowę i spostrzegł, że Pete mu się przygląda. - Nie umiem zapobiec wyczerpywaniu się serotoniny w organizmie - powiedział bardziej do siebie niż do niego. - Przecież nie będziemy podawać ludziom tabletek. Czeka mnie jeszcze dużo pracy...

- Do czego pan zmierza? - zapytał Pete.

- Juź ci tłumaczyłem - mruknął niecierpliwie Noe. - Wszyscy będą szczęśliwi. Muszę tylko wyeliminować popadanie w depresję.

- Bzdura.

Oczy Noego rozbłysły jak u szaleńca, lecz zapanował nad sobą.

- Dobrze - powiedział. - Wy tłumaczę ci. O nastroju człowieka decyduje układ serotenergiczny. Nastrojami sterują płaty czołowe mózgu. Organizm wytwarza serotoninę, która trafia do tych płatów, i czujemy się wtedy świetnie. Gdy jej brakuje, czujemy się źle i wpadamy w depresję. Zrozumiałeś?

- Tak jakby - odparł niewyraźnie Pete.

- O tym uczeni wiedzą od dawna - kontynuował Noe. - Ja znalazłem sposób wpływania na produkcję serotoniny przez ludzki organizm. Mój stymulator zwiększa jej wytwarzanie i podaż do płatów czołowych mózgu. Jest to pewien rodzaj promieniowania, mniejsza o szczegóły. Szkopuł w tym, że nadmierna ilość wprawia człowieka w euforię, a później produkcja serotoniny gwałtownie spada i następuje depresja. Sam to przeżyłeś.

- I nie chciałbym nigdy więcej - mruknął Pete.

- Pracuję nad formułą wyważoną - powiedział Noe. - Szukam dawki umiarkowanego szczęścia, nie prowadzącej do zapaści. Wydaje mi się, że ją znajdę.

- Dlaczego nie eksperymentuje pan na sobie? - zapytał złośliwie Pete.

- Ponieważ sam siebie nie mógłbym kontrolować - odparł uczony. - Muszę mieć obiekty do badań. Kiedy skończę, ludzie będą szczęśliwi. Taki cel wart jest poświęcenia.

- Pan nie poświęca siebie, tylko mnie - powiedział ponuro Pete.

- Siebie już poświęciłem - Noe wskazał na swoje nogi przykryte pledem. - Przedawkowałem i wpadłem w depresję. Stało się to, gdy prowadziłem samochód.

Pete wstał z fotela.

- Na mój rozum, ludzie nie potrzebują sztucznego szczęścia - powiedział. - Wyobraża pan sobie, co może się stać, jeśli pański stymulator wpadnie w niepowołane ręce? Na przykład, terrorystów?

- To wykluczone - odparł krótko Noe i zatoczył ręką koło: - Wszystko wyleci w powietrze.

## ROZDZIAŁ 8

### ULTIMATUM

Był środek nocy, gdy komandosi Sandersa bezszelestnie otoczyli ranczo. W żadnym z okien nie paliły się światła. Bob w asyście dwóch uzbrojonych żołnierzy podkraść się do bramy i, wsadziwszy rękę przez kraty, po omacku rozbroił mechanizm. Skrzydła się rozstały, komandosi weszli do środka.

Mesjasz spał, z białymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Nie obudziła go lampa zapalona przez Sandersa. Ocknął się dopiero, gdy ten potrząsnął go za ramię.

Usiadł na łóżku. Nie wyglądał na przestraszonego ani na zaskoczonego, kiedy zobaczył Jupe'a.

- Witaj, Judaszu - powiedział łagodnie. - Zdradziłeś mnie, jak on swojego Pana. Ale Chrystus i tak zwyciężył.

- Chrystus nikogo nie szantażował - powiedział Jupe. - Szukamy Sary Rogers.

- Śpi w swoim pokoju. - Mesjasz wstał z łóżka, przygładził długie białe włosy. - My nikogo nie szantażujemy, jak możesz tak mówić, przecież byłeś z nami! Sprawiliś mi ból, Jupiterze Jones.

- Czy żądanie dziesięciu milionów dolarów to nie szantaż? - zapytał major Sanders. - Ubieraj się, pojedziesz z nami.

Oczy Mesjasza zrobiły się okrągłe.

- O jakich milionach pan mówi? - zwrócił się do Sandersa.

- Mam uwierzyć, że nie kazałeś Sarze Rogers szantażować burmistrza Los Angeles? - major uśmiechnął się krzywo. - Ubieraj się.

Mesjasz wciąż patrzył na Sandersa i Jupe'a. Oczy miał coraz bardziej okrągłe.

- Jestem gotów - odezwał się po paru minutach, przytomniejąc, i obciągnął na siebie długą lnianą koszulę.

Trzech komandosów wtargnęło do pokoju Sary.

Nie było jej tam. Ani nigdzie indziej na terenie farmy.

Jupe zapukał do pokoju Lei.

- Proszę wejść - usłyszał.

Przy łóżku paliła się mała lampka. W jej świetle Jupe zobaczył nieład kasztanowych włosów i wielkie oczy barwy włoskiego orzecha. Lea patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Wróciłeś? Byłam pewna, że wrócisz. Cały czas myślałam o tobie. Wiedziałam,

że nie mogłeś nas zdradzić, przekonywałam o tym Mesjasza i Sarę.

Jupe'owi ścisnęło się serce. Na moment zapomniał o wszystkim. Chciał podbiec do Lei, chwycić ją za rękę, przytulić.

Zapanował nad sobą.

- To nie była zdrada - powiedział łagodnie. - Wyrządzacie dużo zła. Próbuję temu zapobiec.

Lea zerwała się z łóżka. W ułamku chwili stała się inną Leą: gniewną, rozwścieczoną. Patrzyła na Jupe'a oczyma pełnymi nienawiści.

- Jak śmiesz tak mówić o Mesjaszu?!

- Wielu ludzi przez was odebrało sobie życie - Jupe wytrzymał jej wściekłe spojrzenie. - Nie oskarżam Mesjasza. Na ranczu są komandosi, szukają Sary.

- Nie znajdziecie jej.

- Ale ty wiesz, gdzie ona jest - powiedział Jupe.

- Nie znajdziecie jej - powtórzyła Lea, a na jej twarzy odmalował się wyraz gniewnej satysfakcji.

Pete obudził się w środku nocy. Walter spał, coś mamrocząc przez sen i cichutko popłakując.

Nie zapalając światła, Pete zaczął wędrować na czworakach po niewielkim pomieszczeniu, badając palcami ściany i podłogę. Szukał gwoźdźca albo kawałka drutu, jakiejś blaszki - wszyscy Trzej Detektywi mieli dużą wprawę w radzeniu sobie z zamkami z pomocą czegoś takiego.

Ale nie znalazł.

Był pewien, że Jupe i Bob go szukają. Wiedzą, że za wodospadem jest grota, do której wszedł: o tym zdążył zameldować. Wiedzą również, że gdyby się z niej wydostał, byłby już z nimi, a przynajmniej nawiązałyby kontakt, nagrałby się na automatyczną sekretarkę, która w ich kwaterze zawsze jest włączona.

Skoro tego nie zrobił, oznacza to dla nich, że nie może.

Jeśli nie może, muszą coś przedsięwziąć. To pewne na sto procent.

Niczego dotąd nie przedsięwzięli.

Dlaczego?

Wytłumaczenie jest tylko jedno: nie znaleźli wejścia do groty.

Wejście musi więc być zamaskowane. Może jest inne, prowadzące donikąd - jakieś wgłębienie, rozpadlina. Zajrzeli, nie znaleźli go i teraz główkują, gdzie mógł się



podziac. A on, Pete, siedzi pod kluczem, uwięziony, w rękach szaleńca. Bo Noe musi być szaleńcem. Gdyby nawet dokonał wielkiego odkrycia, o którym mówi, wprawienie całego rodzaju ludzkiego w stan trwałego uszczęśliwienia to absurd. Permanentnie szczęśliwi są debile, szczerzące zęby głupki. Myślący człowiek spełnia się w różnych stanach ducha, raz na wesoło, raz w cierpieniu. Tylko tak. Ale jak stąd wyjść?

Leżąc na łóżku i rozmyślając, Pete bezwiednie obmacywał poręcze, materac, wreszcie sprężyny. Sprężyna! To jest to!

Wciąż po omacku, w kompletnych ciemnościach, Pete zaczął mocować się ze sprężyną. Czuł, choć tego nie widział, że palce mu krwawią. Po dobrej godzinie mocowania się uwolnił jeden koniec sprężyny, potem odłamał drugi. Odłamana końcówka miała ostry szpic. Nie bacząc na ból w opuszkach palców i na krwawiące skaleczenia, Pete wygiął drut w kształt wytrychu.

Starając się nie spowodować najłżejszego skrzypnięcia, zaczął dłubać w zamku. Usłyszał cichutki trzask zapadki. Puściła druga, potem trzecia. Ile ich jeszcze jest? W takim zamku powinny być cztery.

Było pięć. Po kolejnej godzinie zmagania puściły wszystkie. Pete ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Stąpając na palcach i trzymając się ściany, Pete ruszył w głąb korytarza. A jeśli tu gdzieś czuwa atletyczny Murzyn? Albo czyha na niego jakaś pułapka, zapadnia, potrzask, czujnik syreny alarmowej?

Ryzyk-fyzyk. Nie ma wyboru.

Bez przeszkód minął załom korytarza, trzymając się ściany pokonał kilka kolejnych zakrętów i o mały włos nie wpadł do rozpadliny. Uratował go refleks: chwycił się jakiegoś występu, zawisł w powietrzu, rozkołysał się i przerzucił ciało na drugi brzeg szczeliny. Uderzył się w kolano o coś ostrego, przełknął jęk.

Po pewnym czasie zahaczył czołem o niski pułap, przecisnął się przez szparę i wyczuł wokół siebie więcej przestrzeni. To była chyba jaskinia z nawisem stalaktytów. Pete przeciął ją ukośnie i wymacawszy ścianę, zaczął posuwać się wzdłuż niej, aż natrafił na wlot tunelu.

Usłyszał szum morza, daleki łoskot fal oblewających skały. Niebiańska muzyka. Ruszył tunelem, coraz niżej pochylając głowę. Pod nogami zachlupotało. Uświadomił sobie, że musi być już blisko grotu.

Kiedy trafił do niej, spodziewał się zobaczyć fosforyczny poblask lustra wody, ale nie zobaczył. Wyjście blokował gład. Pete obmacał go od góry do dołu i od dołu do góry. Pchnął lekko. Potem pchnął mocniej, natarł ze wszystkich sił. Skała ani drgnęła.

Poddać się? Zawrócić?

No to może zębami wygryźć w nim dziurę? Łeb sobie rozbić o potężny kamień?

Ale wszedł tu przecież. Sara wchodzi i wychodzi. Musi być sposób na tę cholerną skałę.

I Pete go znalazł. Przestał pchać w środek, natarł na krawędź. Głaz ruszył, obrócił się na niewidocznej osi. Powstało przejście.

Pete zdarł z siebie lnianą koszulę i skoczył do wody. Doznał rozkoszy, tym razem prawdziwej, bez żadnych sztuczek. Był wolny! Opłynął wodospad, biel piany wytyczała drogę między skałami. Księżycowa połota odbijała się w wodnym lustrze.

Kiedy dotarł do brzegu, jak spod ziemi wyrosła trójka mężczyzn w kominiarkach. Pete zobaczył wycelowane w siebie lufy.

- Stać! - padł cichy rozkaz. - Nazwisko!

- Pete Crenshaw...

- A, to ty - głos mężczyzny złagodniał. - Uciekłeś im?

- Jakoś się udało - powiedział Pete.

- Czy jest tam Sara Rogers?

- Chyba jej nie ma - odparł.

Była siódma rano, gdy Trzej Detektywi znaleźli się w gabinecie burmistrza Los Angeles, w towarzystwie Billa Nortona i majora Sandersa. Burmistrz znajdował się jeszcze na sali konferencyjnej, gdzie odbywał naradę z władzami miasta.

- Większość zaginionych wróciła już do domów - poinformował prokurator okręgowy. - Godzinę temu skończyły się przesłuchania. Wygląda na to, że Mesjasz nie wie o szantażu.

- To się jeszcze okaże - mruknął major Sanders. - Moi ludzie nadal rozmawiają z nim i jego dwiema asystentkami. Musimy wyjaśnić, na czym polega wywoływanie zbiorowej ekstazy.

- Ja to panu wyjaśnię - powiedział Pete.

Major spojrział na niego, zaskoczony. Potem dał mu znak, aby poszedł za nim. Zniknęli za drzwiami pokoju sąsiadującego z gabinetem burmistrza.

- Spisaliście się świetnie - powiedział do Jupe'a i Boba Bili Norton. - Ale najważniejsze przed nami. W całym mieście trwają poszukiwania Sary Rogers. Namierzono, skąd telefonowała. Niestety, z budki telefonicznej na przedmieściu. Nikt jej nie widział, nie zostawiła żadnych śladów, nie utrzymuje kontaktu z rodziną.

- Miasto zapłaci dziesięć milionów dolarów? - zapytał Bob.

- Całą operacją kierują służby specjalne Sandersa - powiedział prokurator. - Nie można dopuścić do tragedii w metrze. Na wszelki wypadek przygotowano pieniądze, ale po sukcesie szantażystom zawsze rośnie apetyt. Burmistrz ma twardy orzech do zgryzienia. Została tylko godzina.

- Myślę, że jest szansa schwytania Sary Rogers - odezwał się Jupe, skubiąc dolną wargę.

Bili Norton i Bob patrzyli na niego w napięciu.

Pete starał się dokładnie powtórzyć to, co usłyszał od naukowca-kaleki. Major Sanders słuchał go z rosnącą uwagą. Relację nagrywał na dyktafon.

- Niektórych terminów nie pamiętam - zakończył Pete. - Ale sens jest taki, że manipuluje się mózgiem za pomocą jakiegoś promieniowania. Noe ma problem z dawką. Szuka formuły, która zapobiegnie wpadaniu w depresję.

Sanders przerwał nagrywanie.

- Masz pojecie, jaka to broń? - zapytał. - Można zmienić ludzi w roboty i rządzić światem. Dlatego my przejęliśmy dochodzenie.

- Myślę, że on nie ma złych zamiarów - powiedział Pete.

- Ale inni mają. Na przykład jego siostra. Gdzie Rogers przechowuje dokumentację wynalazku?

- Chyba w swoim podziemnym laboratorium - odparł Pete. - Jest tam sejf. Ale Noe twierdzi, że jego odkrycie nie może dostać się w niepowołane ręce. Podobno zabezpieczył się przed tym.

Major Sanders nie potrafił ukryć zaniepokojenia. Znowu włączył dyktafon.

- W jaki sposób się zabezpieczył? - padło niecierpliwe pytanie. - Przypomnij sobie dokładnie, co ci o tym powiedział. Każde słowo.

Pete nie musiał sobie przypominać. Doskonale pamiętał.

- "To wykluczone" - zacytował Noego. - "Wszystko wyleci w powietrze".

Major Sanders szybko sięgnął do telefonu komórkowego. Był to duży zielony aparat wojskowego typu, z długą wyciąganą anteną i rzędami kolorowych przycisków. Sanders nacisnął czerwony.

- Tu Orzeł. Rozkazuję wstrzymać operację "Ekstaza".

Punktualnie o ósmej zadzwonił telefon na biurku burmistrza Los Angeles.

Burmistrz już czekał. Obok stali Trzej Detektywi, prokurator Norton i major Sanders.

Przedtem major poinformował burmistrza, że wiadomo, kim jest szantażystka, ale ona nie może się tego domyślić. Należy przeciągać pertraktacje. Służby specjalne prowadzą intensywne poszukiwania. Wszystkie stacje metra są pod obserwacją.

- Jest pan gotów zapłacić dziesięć milionów dolarów? - odezwał się zniekształcony głos.

- Tak - odparł burmistrz. - Ale zebranie takiej sumy musi potrwać.

- Miał pan od wczoraj dość czasu! - zgrzytnął głos.

- Nie mogłem zwołać rady miejskiej w środku nocy - zaczął tłumaczyć się burmistrz. - Przed chwilą skończyło się posiedzenie...

- Ale był czas na obstawienie metra szpiczlami! - padło ze słuchawki. - Ma nas pan za idiotów? To nie musi być kolej podziemna. Może być Hollywood. Albo lotnisko.

- Macie naszą wstępną zgodę na zapłacenie dziesięciu milionów dolarów. Potrzebuję dwóch godzin...

- Wstępną?! - głos przesycony był wściekłością. - To nie jest dyskusja, burmistrzu! To ultimatum!

- Przejęczyłem się - szybko powiedział burmistrz. - Oczywiście, jest pełna zgoda, potrzebuję tylko czasu, rozmawiamy z bankami, dwie godziny wystarczą, żeby zgromadzić całą sumę.

- Ma pan godzinę. Ani minuty więcej. Zadzwoń pięć po dziewiątej i podam sposób przekazania pieniędzy.

Burmistrz ze zrezygnowaną miną odłożył słuchawkę na widełki.

- Jesteśmy na ich łasce - powiedział cicho. - Jutro zażądają dwudziestu milionów.

- Na pewno - zgodził się Norton. - Albo miliarda od prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W gabinecie zapadła cisza. Nie na długo.

- Czy wczorajsza rozmowa została nagrana? - zwrócił się do burmistrza Jupe.

- Wszystkie rozmowy z tego telefonu są nagrywane - odparł burmistrz i spojrzał na zegarek: - Zostało pięćdziesiąt siedem minut.

- Chcę natychmiast zobaczyć się z Leą - powiedział Jupe do Sandersa. - Bez świadków.

## ROZDZIAŁ 9

### POGRZEBANE ODKRYCIE

Kasztanowe włosy Lei były upięte w kok. Twarz miała bladą, oczy bez wyrazu. Nawet nie spojrzała na Jupe'a, gdy wprowadzono ją do pokoju przesłuchań i zostawiono z nią samą.

Jupe poczuł suchość w ustach. Było mu żal Lei. Chciał jej dodać otuchy, powiedzieć coś miłego, lecz nie znalazł właściwego słowa.

- Cześć - bąknął.

- Gdzie jest Mesjasz? - zapytała Lea bezbarwnym głosem. - Chcę być przy nim. On nie wytrzyma więzienia.

- Wyjdzie na wolność bardzo prędko - zapewnił Jupe. - Ty też. Wierzę, że wy oboje nie zdawaliście sobie sprawy, w czym uczestniczycie.

Lea podbiegła do Jupitera, chwyciła go za rękę, spojrzała mu w oczy z niemym błaganiem.

- Pomóż Mesjaszowi. Wyciągnij go stąd, jeśli tylko możesz. Zrób to dla mnie, Jupe!

Jupe chciał powiedzieć Lei, że dla niej byłby gotów zrobić bardzo wiele, a nawet więcej niż wiele. Powstrzymał się. Nie miał w tej chwili prawa do osobistych uczuć.

- Ty to zrób dla niego - odezwał się półgłosem, przytrzymując w dłoniach lodowate palce dziewczyny. - Możesz sprawić, że znajdzie się na wolności.

- Ja?

- Byłaś z Sarą na cmentarzu. To wy doprowadziłyście uczestników pogrzebu do ekstazy. Na pewno nie wiedziałaś, że kilku z nich popełniło nazajutrz samobójstwo.

Zobaczył w jej oczach smutek zmieszany z bólem.

- Więc i tym razem eksperyment się nie udał - wyszeptwała. - Miałam nadzieję...

- Nie mógł się udać - powiedział Pete. - Brat Sary nie znalazł dotąd formuły wykluczającej depresję.

- Zapewniała, że tym razem się uda. Że Mesjasz i Noe będą już mogli przystąpić do wypełniania cudownej misji i że cały świat wkrótce ogarnie taka szczęśliwość...

- Okłamywała cię - przerwał Jupe, nie pozwalając Lei cofnąć rąk, ściskając je coraz mocniej. - Kłamała Mesjaszowi i okłamywała własnego brata. Nic nie wiedział o samobójstwach. Sara miała inny cel. Zbrodniczy.

- Nie wierzę - wyszeptwała Lea, wpatrując się w Jupe'a.

Jupe puścił jej rękę. Wyjął z kieszeni dyktafon i wcisnął klawisz. Z małego głośniczka popłynął zapis rozmowy Sary z burmistrzem.

- Poznajesz jej głos? - spytał, gdy głośnik umilkł.

- Tak... to ona. - Lea chwytała powietrze szeroko otwartymi ustami. - Na pewno ona... Jupe, ja zwariuję!

- Jeśli nie powstrzymamy Sary, wielu ludzi przyplaci to życiem - powiedział cicho Jupe i spojrzał na zegarek. - Zostało pół godziny.

- Daj mi jeszcze raz posłuchać - odezwała się szeptem Lea.

...To nie musi być kolej podziemna - dobiegło z głośniczka. - Może być Hollywood. Albo lotnisko... Dziesięć milionów dolarów... To ultimatum!

- Zostało dwadzieścia sześć minut - przypomniał Jupe. - Życie tych ludzi jest w twoich rękach. Postąpisz, jak zechcesz.

Lea zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, była już zdecydowana.

- Znajdziecie Sarę na Lexington 16-24 - powiedziała. - Pokój na poddaszu. To nasza awaryjna kwatera.

Trzy pancerne wozy służb specjalnych stanęły przy sąsiednim bloku. Kilkunastu komandosów otoczyło czteropiętrowy wiktoriański budynek. Major Sanders w asyście Boba i kilku uzbrojonych żołnierzy ruszył schodami na górę, ale nie dotarł do poddasza.

Na podeście czwartego piętra stanęli twarzą w twarz z Sarą: zapewne szła już do budki telefonicznej na drugiej stronie ulicy.

Było dwie minuty po dziewiątej.

- Cześć, Saro - powiedział Bob. - Nie mamy ze sobą dziesięciu milionów dolarów.

Twarz Sary wykrzywił grymas bezsilnej wściekłości. Zamierzyła się, chcąc spoliczkować Boba, lecz komandosi Sandersa byli szybsi. Na przegubach Sary zatrzasnęły się kajdanki.

- Kto mnie wydał? - spytała chrapliwym głosem, wpatrując się z nienawiścią w Boba. - Ten dureń Mesjasz? Czy któraś z tych dwóch idiotek?

Nie doczekała się odpowiedzi.

Wojskowy ponton z komandosami i Pete'em przecisnął się między skałami i opłynąwszy wodospad przycumował do kamiennego stopnia. Olbrzymi głąz maskował

wejście do groty.

- To tutaj - powiedział Pete i w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie dowódcy napał całym ciałem na krawędź skały.

Głaz wolno obrócił się na osi, ukazując wejście.

- Zostańcie tutaj - rozkazał dowódca.

Wspiął się na stopień, trzymając pod pachą potężny megafon ze wzmacniaczem. Zrobił parę kroków w głąb groty i przyłożył megafon do ust.

- Hej tam! - zagrzmiało, zwielokrotnione echem. - Proszę opuścić jaskinię!

Minęło kilka minut. Nikt się nie pojawiał.

- Jesteście na terytorium wojskowego poligonu! - zawołał przez tubę oficer. - Prosimy o opuszczenie jaskini!

Odpowiedziało mu echo. Odczekał kolejnych parę minut i znowu uniósł megafon.

- Tu ochrona poligonu! Wiemy, że w jaskini są turyści! Proszę wyjść, bo zaczniemy przeszukiwanie! Macie trzy minuty! Kto nie usłucha, będzie ukarany mandatem!

Nie musiał czekać trzech minut. Z głębi tunelu wyłonił się atletyczny Murzyn, prowadząc za rękę kilkunastoletniego chłopca.

- Przepraszamy - mruknął. - Nie wiedzieliśmy, że tu jest poligon. Byliśmy na wycieczce.

- Czy ktoś pozostał w środku? - zapytał dowódca.

- Nikogo więcej nie ma - odpowiedział Murzyn. - Tu gdzieś zostawiliśmy łódkę... Pewnie odpłynęła. Podrzucicie nas do brzegu?

Pete wysiadł z pontonu i stanął naprzeciw Murzyna.

- Gdzie jest pan Noe Rogers? - zapytał półgłosem. - Dlaczego nie wyszedł razem z wami?

Murzyn poznał go. Usta wykrzywił mu gorzki uśmiech.

- Zasadzka! - krzyknął ze wszystkich sił, zwracając się ku grocie.

- Za mną! - rozkazał komandosom dowódca.

Zaczęli wyskakiwać z pontonu. Dowódca pierwszy rzucił się naprzód i zastygł w miejscu: grotą wstrząsnął daleki odgłos wybuchu. Fala pędzącego powietrza przewróciła go na ziemię.

Murzyn stał z pochyloną głową. Po ciemnych policzkach płynęły łzy. Walter patrzył tępo przed siebie, coś mamrocząc pod nosem.

Lea siedziała przy kawiarnianym stoliku z widokiem na wesołe miasteczko i dłużyła łyżeczką w kulce waniliowych lodów. Miedzianokasztanowe włosy spadały jej na ramiona, twarz miała bladą, jak po chorobie. Wielkie oczy koloru włoskiego orzecha straciły swój blask.

Jupe nie wiedział, co powiedzieć. Był trochę zaskoczony, że zgodziła się na spotkanie z nim w kawiarni. Teraz milczała.

- Rozumiem, co czujesz - odezwał się półgłosem. - Wiem, że masz do mnie żal, ale nie mogłem postąpić inaczej. - Odczekał chwilę, nie doczekał się reakcji. - Cały czas myślę o tobie. Rozumiem, że mało cię to obchodzi, ale chcę, żebyś wiedziała.

- Mam żal do siebie - usłyszał cichy głos Lei, prawie szept.

- Ocaliłaś wielu ludzi - powiedział. - Być może, zapobiegłaś wielkiej tragedii.

- Być może... Co mi teraz po życiu?

- Nie mów tak - zaprotestował. - Życie dopiero przed tobą.

- Jakie życie? - Lea gwałtownie uniosła głowę. - Puste. Bez celu. Mesjasz był moim natchnieniem, rozumiesz? Teraz już w nic nie wierzę, na nic nie liczę.

Jupe zjadł trochę lodów. Nie smakowały mu tak jak zazwyczaj, były tylko zimne i mdłe.

- Jest w co wierzyć i na co liczyć - powiedział, patrząc na wirującą karuzelę, napływającą się w niebo gondole diabelskiego młyna, pełne rozbawionych ludzi, słysząc ich śmiech, piski, radosne okrzyki. - Może mógłbym cię o tym przekonać, gdybym miał więcej czasu. Musiałbym cię często widywać. Ale wątpię, czy zechcesz... - Zobaczył jej uniesione brwi. - Co za frajda, spotykać się z grubasem...

- O czym ty mówisz? - usłyszał.

- No, o sobie... - wymamrotał Jupe. - Ale zeszczupleję. Daj mi jeden miesiąc.

Zaskoczył go jej uśmiech. W uśmiechu twarz Lei pojaśniała, oczy wypełnił dawny blask z isierkami rozbawienia.

- Po co miałbyś zeszczupleć? Jesteś w porządku. Taki... męski.

Jupiter Jones nie podejrzewał, że może być męski. Przez chwilę sądził, że Lea kpi z niego. Ale nie kpiła.

- Będziemy się spotykali? - zapytał. - Często?

W oczach barwy orzecha odczytał twierdzącą odpowiedź.